

Poznaj Świat

12
2017

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

Mjanma

CZAR CHINATOWN

str. 94

str. 12

IZRAEL

DOM BOGA,
DOM CHLEBA

str. 18

BOLIWIA

PIĘKNO ODMIENNOŚCI

str. 44

SUAZI

OSTATNIA MONARCHIA

TAJWAN STR. 54

WYSPA W CIENIU SMOKA

ZATOR STR. 26

KARP A SPRAWA POLSKA

AFRYKA STR. 78

PODRÓŻ MIĘDZY WYZNANIAMI



FRANCJA
STR. 64

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



917700321614704 12




NIEOGRANICZONA RD

#GoDomRep
GoDominicanRepublic.com
GoDominicanRepublic.pl



Republika Dominikańska
Pełnia wrażeń

Wodospad Salto Jimenoa
Jarabacoa 



Z okazji Bożego Narodzenia
samyh ciepłych uczuć wokół
oraz
pięknych podróży w grąb siebie
życzy
redakcja miesięcznika
Poznaj Świat



NIEMCY str. 86



BOLIWIA str. 18



TAJWAN str. 54



FRANCJA str. 64

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

IZRAEL str. 12
Jeden z tutejszych kościołów
to najważniejsza świątynia
chrześcijańska świata.
Znajduje się w centrum
Betlejem.
Radosław Kożuszek

BOLIWIA str. 18
Boliwijczyka nie dziwi,
że lodowiec wznosi się
ponad tropikalnym lasem
i że szamański rytuał jest
odprawiany podczas
katolickiego święta.
Paweł Wilk

POLSKA str. 26
Okolice Zatora od ponad
700 lat słyną z hodowli karpia.
Dariusz Jędrzejewski

USA str. 32
Śladami czarnych
niedźwiedzi.
Agnieszka Dziadek

GEOSKOP str. 40

SUAZI str. 44
Ten niewielki naród ma swoją
historię, dzielnego króla i śni
własny sen o potęgde.
Elżbieta i Piotr Hajduk

TAJWAN str. 54
Wyspa w cieniu smoka.
Anna Gryszkiewicz

PODRÓŻNOŚCI str. 62
Fabryka snów.
**Felieton Magdaleny
Żelazowskiej**

FRANCJA str. 64
Chamonix od wieków
przyciąga żądnych wrażeń
turystów, wspinaczy
oraz narciarzy.
Mikołaj Gospodarek

NAVIGATOR str. 74

POZNAJ ZWYCZAJ str. 78
Afryka. Podróż między
wyznaniami.
Adam Adams

MIKROWYPRAWY str. 84
Zieloną drogą do pracy.
**Felieton Łukasza
Długowskiego**

NIEMCY str. 86
Świąteczny jarmark
w Lipsku.
Grzegorz Skrzypak

POLSKA NIEZNANA str. 92
O rzut beretem.
**Felieton Mikołaja
Gospodarka**

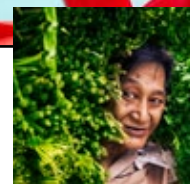
ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
MJANMA str. 94
Czar Chinatown.
Magdalena Zelewska

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 104

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 106
Puste miejsce.
Felieton Anny Szcześnie

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



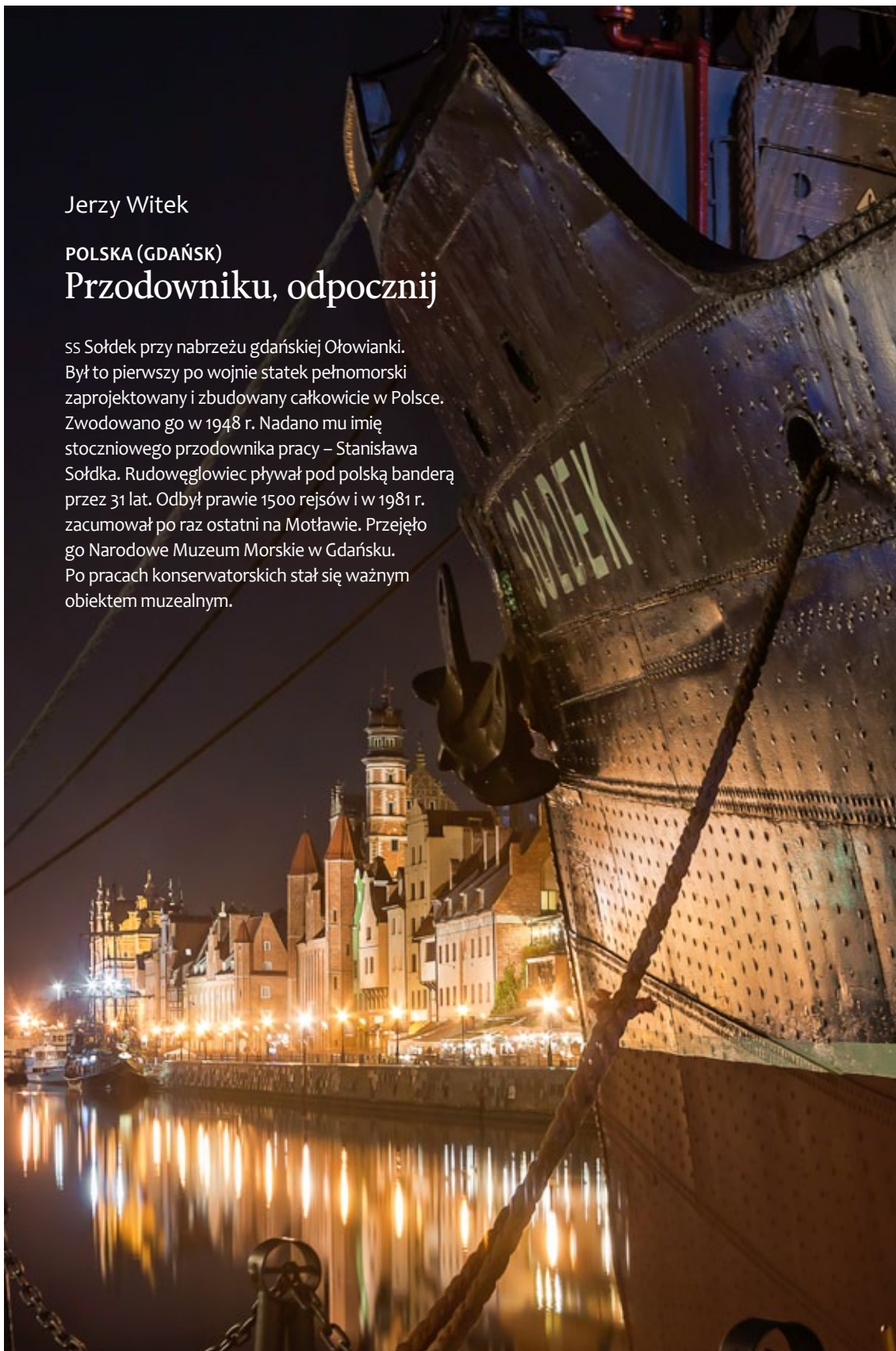
NA OKŁADCE:
sprzedawca
warzyw z Mjanmy

Jerzy Witek

POLSKA (GDAŃSK)

Przodownik, odpocznij

ss Sołdek przy nabrzeżu gdańskiej Ołowianki. Był to pierwszy po wojnie statek pełnomorski zaprojektowany i zbudowany całkowicie w Polsce. Zwodowano go w 1948 r. Nadano mu imię stocznioowego przodownika pracy – Stanisława Sołdka. Rudowęglowiec pływał pod polską banderą przez 31 lat. Odbił prawie 1500 rejsów i w 1981 r. zacumował po raz ostatni na Motławie. Przejęło go Narodowe Muzeum Morskie w Gdańsku. Po pracach konserwatorskich stał się ważnym obiektem muzealnym.





**REVOLUTIONARY THEN,
ICONIC NOW.**

NEVER STOP EXPLORING™



Tomasz Owsiany

FILIPINY

Kopa kapitanowej

Żona kapitana wioski Tacadang, zaszytej wśród szczytów Kordyliery Centralnej, siedzi przy drewnianej chacie typowej dla ludu Kankanaey. Spłaszczony, półotwarty kosz zwany *kopa* służy przede wszystkim do znoszenia pęków zżętego ryżu, uprawianego na tarasowych poletkach.

„Gospodarstwo krewnych MacQueena stało na podwórzu wyciętym w gliniastym zboczu. Klasyczne: kuchnia i chata na drewnianych słupach. Na miejscu było kilka znajomych twarzy. Była pani Arsenia i jej siostra. Był też psotny Jomar, który zawsze chodził w wełnianej czapeczce, i stary pan Lonezio. Gospodarze uspokoili psy. – Dzień dobry! Prosimy – powiedzieli z łagodnym uśmiechem. Co dokładnie świętowali? – Oczyszczenie grobu mojej babci. Wczoraj moi krewni byli tam, za górą, i wyciągali miód z trumny – powiedział MacQueen”. Tomasz Owsiany, „Pod ciemną skórą Filipin”, wyd. Muza.



Dortmund i Bochum w adwencie

Adwent w niemieckojęzycznej Europie budzi ciepłe skojarzenia. Ze stertami skrzących się na straganach choinkowych ozdób i upominków ręcznej roboty. Lśniącymi aniołami zwiastującymi nadejście Bożego Narodzenia. Powietrzem przepętnionym zapachem grzanego wina z przyjemnie fechtącymi nozdrza nutami cynamonu, goździków i bakalii.

Mówiąc szczerze, tak wyglądają jarmarki bożonarodzeniowe w każdym z 53 miast dawnego Zagłębia Ruhry. Ba, wszystkie niemieckie Weihnachtsmärkte i Christkindlesmärkte, bo ze względu na lokalne dialekty i obyczajowe niuansy zarówno nazwa, jak jej wymowa mogą być odmienne. Na liście bożonarodzeniowych przebojów Dortmund i Bochum zajmują wysokie pozycje, bo do powszechnej tradycji dodano w nich wyjątkowo atrakcyjne elementy.

Najwyższe drzewko świąteczne

Zwyczajowo adwent w Nadrenii-Północnej Westfalii trwa do 23 grudnia, a rozpoczyna się w połowie listopada. Ale w Dortmundzie na miejsce, które zajmują stragany, wjeżdżają cztery tygodnie wcześniej maszyny budowlane, by zainstalować największe na świecie świąteczne drzewko. Na fundamencie ważącym 120 ton wznosi się 40-tonową konstrukcję. Bo tak naprawdę nie jest to jedno wielkie drzewo, ale 1700 drzewek sprowadzanych każdego roku ze specjalnej plantacji. Ułożonych na stabilnym rusztowaniu i systematycznie zraszanych dla zachowania świeżości. W efekcie dortmundzka choinka ma 45 m wysokości i pachnie jak żywa. Do 30 grudnia świeci się na niej non stop 48 tys. LED-owych lam-

pek, a na szczycie lśni 4-metrowy anioł, który waży 200 kg. Tak dzieje się dopiero od 21 lat; „dopiero”, ponieważ pierwsze drzewko zainstalowano w 1996 r., a Dortmundski Weihnachtsmarkt jest organizowany od lat 119. Wyrósł w tym czasie na jeden z największych i najpiękniejszych w Niemczech. Na głównym miejskim placu stoi ponad 300 stoisk. By oglądać choinkę i cieszyć się przedświąteczną atmosferą, przyjeżdżają do miasta tysiące gości z kraju i z zagranicy. Choinka świetnie promuje miasto.

Latający Mikołaj

W sąsiadującym z Dortmundem Bochum codziennie o 17.00 i 19.00 pojawia się na niebie zaprzęg Świętego Mikołaja. Bynajmniej nie miniatura, ale naturalnej wielkości, bo w rolę oczekiwanego przez dzieci rozdawcy upominków wciela się człowiek. Falko Traber z rodziny akrobatów, w której tradycje wykonywania emocjonującego zawodu przechodzą z pokolenia na pokolenie od początku XVI w.

Latający Mikołaj (Fliegender Weihnachtsmann) sunie powoli, 33 m nad zadartymi do góry głowami gości. Pozdrowia zgromadzonych i dziękuje im za powitalne okrzyki. Wszystko dzieje się na placu Dr. Ruera, zastawionym 200 świątecznymi straganami. Wrażenie jest niesamowite, bo po zmroku nie widać stalowej liny długości 125 m rozwieszanej między siedzibą Sparkasse Bochum a domem han-

dlowym Kortum-Karree. Lina ma średnicę 14 mm, a sanie i renifery, wykonane według projektu rzeźbiarza Helmuta Lutza z tworzyw sztucznych, są wyjątkowo lekkie. Wszystko po to, żeby lina się nie rozciągała, a przelot Świętego Mikołaja wyglądał jak z bajki. Po pokazach „Latający Mikołaj” zsuwa się po 84-metrowej linie na ziemię, by uczestniczyć w zabawach przeznaczonych dla najmłodszych.

Rekordowe choinki i „Latający Mikołaj” z całą pewnością spodobają się dzieciom. Nie powinni się też zawieść rodzice, bo Dortmund i Bochum są znakomitym celem przedświątecznej wycieczki w rodzinnym gronie połączonej z zakupami niebiańskich upominków pod choinkę.



Wszystko o Zagłębiu Ruhry: www.ruhr-tourismus.de oraz www.metropoleruhr.de

Jarmark bożonarodzeniowy w Dortmundzie: www.dortmunderweihnachtsmarkt.de

Jarmark bożonarodzeniowy w Bochum: www.bochumer-weihnacht.de

Do Dortmundu bezpośrednie połączenia z Polski oferują: WizzAir z Gdańska, Katowic i Wrocławia oraz Ryanair z Krakowa: www.dortmund-airport.de

Więcej o atrakcjach turystycznych Niemiec: www.germany.travel





Jan Siemiński

SŁOWENIA

Pragnienia do spełnienia

Polodowcowe jezioro Bled w Alpach Julijskich, w północno-zachodniej Słowenii. Na wyspie Blejski Otok mieści się kościół, a obok niego wybudowana w xv w. dzwonnica, na której jest zawieszony słynny Dzwon Pragnień. Według miejscowych wierzeń po pociągnięciu za sznur spełniają się wszystkie pomyślane życzenia. Jezioro Bled to jedno z najczęściej fotografowanych miejsc w Europie.

Mariusz Woźniński

WŁOCHY

Riwiera na ostrodze

Vieste, wzniesione na końcu włoskiej ostrogi, to nie tylko ulubione miejsce wypoczynku mieszkańców południowych Włoch, ale również jedna z głównych atrakcji półwyspu Gargano i całej Apulii. Przez autochtonów nazywane małym Neapolem, obcokrajowcy częściej porównują ją do Dubrownika. Jednak ci, którzy poznali południowe wybrzeże Italii trochę lepiej, wiedzą doskonale, że Vieste to kwintesencja apulijskiej riwieri.



Przyślij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży

na rynku od
1948 r.

w prenumeracie
najtaniej



Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jeden z **75 prezentów**: książki, przewodniki, gry
- **darmowa** dostawa
- prenumerata roczna **tylko 109 zł**

Prezenty zobacz tu: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.

Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.



Radosław Kozuszek

DOM BOGA, DOM CHLEBA

Nazwa tego miasta w języku arabskim oznacza „dom chleba” (*bejt lehem*) i nawiązuje do urodzajnych okolicznych terenów, na których uprawiano zboża. Jeden z tutejszych kościołów – ani duży, ani wysadzany złotem – to najważniejsza świątynia chrześcijańska świata. Znajduje się w centrum Betlejem i stoi w miejscu, gdzie według Biblii narodził się Chrystus.







FOT. SHUJAA, 777 - SHUTTERSTOCK

BETLEJEMSKA GWIAZDA

Prawosławna bazylika Narodzenia Pańskiego, najważniejsze sanktuarium chrześcijańskie. Nad Grotą Narodzenia w podziemiach bazyliki znajduje się srebrna gwiazda z 1717 r. z inskrypcją o przyjściu na świat Jezusa Chrystusa.

Betlejem leży 9 km od Jerozolimy. Dziś pomiędzy obydwooma miastami znajduje się mur graniczny, zwany czasami murem bezpieczeństwa. Budowę w 2002 r. rozpoczęła Izrael i od razu spotkał się z krytyką społeczności międzynarodowej.

W momencie niepokoїв społecznych, bramy mogą być zamykane, a podróż Palestyńczyków z Betlejem do stolicy może się wydłużyć. Ponadto trzeba wcześniej przejść skomplikowane formalności, aby dostać zgodę na wjazd do części wcielonej do Izraela. Ta granica nie jest na szczęście znaczącą przeszkodą dla turystów z Polski czy innych państw europejskich, którzy przekraczają ją bez kontroli lub tylko za okazaniem paszportu.

PRZEKROCZYĆ MUR

Jeśli wykupi się wycieczkę pakietową, nie trzeba opuszczać autobusu relacji Jerozolima – Betlejem, a ze strefy wcielonej do Izraela wyjeżdża się przez bramę lub metalowe śluzę w murze. Problem może nastąpić podczas niestabilnej sytuacji w obydwu krajach i jeśli chcemy przejechać z Jerozolimy do Betlejem samodzielnie – tak, jak codziennie robią

to Palestyńczycy. Autobusy kursujące z arabskiego dworca leżącego obok Bramy Damasceńskiej w Jerozolimie dojeżdżają wówczas do rzeźzonego muru w pobliżu Betlejem. Pasażerowie muszą opuścić pojazd, który wraca do Jerozolimy. Następnie należy kierować się za tłumem, który podąża korytarzem wyznaczonym przez płot do betonowego budynku usytuowanego w murze. Tam znajdują się stanowiska kontroli dozorowane



FOT. RADOŚLAW KOZŁUSZEK

przez żołnierzy izraelskich i pograniczników palestyńskich. Aktualnie bramy w murze są otwarte, a pojazdy i pieszych przepuszcza się bez kontroli w obydwu kierunkach.

Po stronie palestyńskiej nie ma komunikacji publicznej, więc dalszą podróż trzeba kontynuować na własną rękę i wynająć zbiorową taksówkę. Można wtedy poprosić kierowcę o pokazanie kilku ważnych dla chrześcijan miejsc. Palestyńscy taksówkarze znają zamiary turystów, więc oferują różnego rodzaju foldery wraz z cennikami i proponują kilka najbardziej popularnych tras: klasztor Mar Saba, ruiny Herodionu, Hebron, Jerycho, a nawet Jezioro Martwe.

KOŚCIÓŁ NA GROCIE

Bazylika Narodzenia Pańskiego od wieków dumnie góruje nad Betlejem. Oparła się

najazdom, wojnom oraz zamachom terrorystycznym. W mniej lub bardziej zmienionej formie przetrwała niszczycielski najazd Persów oraz panowanie Turków. Dziś, w związku z niestabilną sytuacją na Bliskim Wschodzie, nie jest może najczęściej odwiedzanym kościołem chrześcijańskim, ale na pewno miejscem, które każdy chrześcijanin powinien zobaczyć.

Biblia nie wspomina dokładnego miejsca, gdzie narodził się Chrystus. Jednak wyznawcy chrześcijaństwa mieszkający na terenie Betlejem z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie informacje o grotach, w których Maryja miała urodzić Jezusa. Na terenie Palestyny nie budowano stajenek z drewna, a inwentarz na noc spędzano albo do zagród, albo do jaskiń. Polskie wyobrażenie stajenki betlejemskiej ma odbicie w naszej kulturze i warunkach geograficznych. Tymczasem na terenie Palestyny dla określenia miejsca narodzin Chrystusa nie używa się słowa „stajenka”, lecz „grota”.

W czasach wczesnochrześcijańskich rządzący tu Rzymianie zacierali wszystkie miejsca związane z Chrystusem. W miejscu Grobu Pańskiego umieścili posągi swoich bogów, a na terenie betlejemskich grot w 135 r. posadzili las, który zadedykowali Adonisowi. Jednak właśnie to zacieranie chrześcijańskich śladów pozwoliło namierzyć miejsce, gdzie należało szukać Groty Narodzenia.

Po przyjęciu chrześcijaństwa przez Cesarstwo Rzymskie Konstantyn Wielki w 326 r. wybudował w miejscu lasku bazylikę Narodzenia. Na początku VI w. została ona poważnie uszkodzona przez pożar, który został wzniecony podczas powstania Samarytan w 527 r. Ale już w latach 528–565, za cesarza Justyniana, cały kościół odbudowano i poszerzono przy okazji prezbiterium. W 614 r. tereny dzisiejszej Palestyny zostały spustoszone przez Persów. Prawie wszystkie najważniejsze dla chrześcijaństwa budynki legły w gruzach, z wyjątkiem bazyliki Narodzenia. Najeźdźcy pod wodzą Chosroesa II chcieli ją złupić, a następnie zniszczyć, ale gdy weszli do środka, ujrzeli ze zdumieniem namalowane wyobrażenia Trzech Mędrców ze Wschodu – perskich magów, astrologów. Z szacunku do nich oraz swojej własnej historii pozostawili kościół niezniszczony.

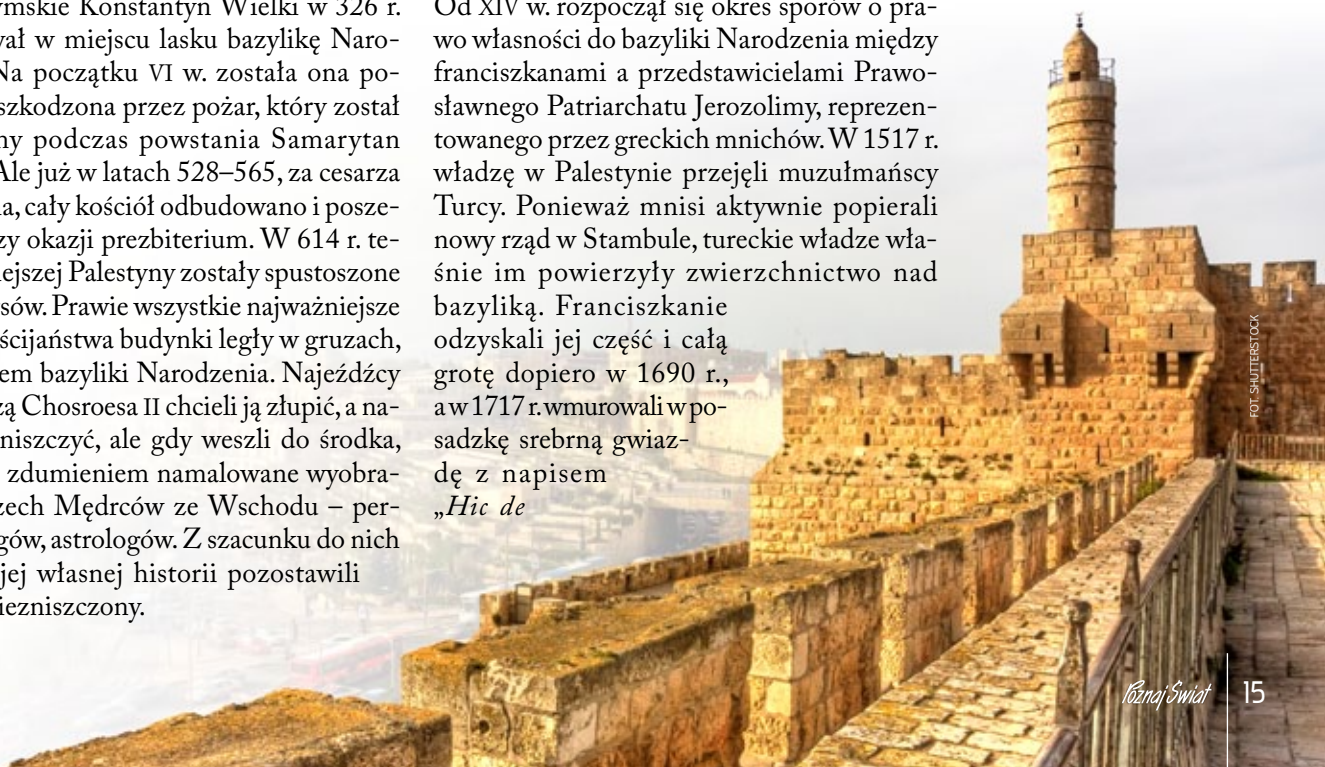
Przez ponad 500 lat bazylice nie zagrażały żadne niebezpieczeństwa, a ciągłe przebudowy czyniły ją coraz okazalszą. W czasach krzyżowców władcy chrześcijańscy poczynili znaczące przeróbki we wnętrzu, wymieniono stropy i dach, a ściany ozdobiono mozaikami. Był to okres owocnej współpracy chrześcijańskich królów jerozolimskich i dworu cesarskiego w Konstantynopolu. Kościół diametralnie zmienił wygląd po 1187 r. Wówczas to władający Ziemią Świętą krzyżowcy zostali pokonani przez muzułmańską armię Saladyna. W efekcie chrześcijanie mieszkający w Betlejem uczynili ze świątyni kościół obronny poprzez zamurowanie części głównego wejścia. Miało to na celu uchronienie świętego miejsca przed zbezczeszczeniem przez muzułmanów, którzy mieli w zwyczaju wjeżdżać do chrześcijańskich świątyni konno. Od tamtej pory, aby wejść do bazyliki Narodzenia, trzeba się mocno pochylić.

WOJNY GWIEZDNE

Na prośbę biskupa Salisburyskiego Huberta Waltera nowe władze muzułmańskie zezwoliły na sprawowanie łacińskiej liturgii, a duchowa opieka nad kościołem została powierzona kanonikom regularnym św. Augustyna. W 1347 r. w Betlejem osiedlili się franciszkanie, którzy przejęli opiekę nad sanktuarium i wszystkimi miejscami świętymi w okolicy. Od XIV w. rozpoczął się okres sporów o prawo własności do bazyliki Narodzenia między franciszkanami a przedstawicielami Prawosławnego Patriarchatu Jerozolimy, reprezentowanego przez greckich mnichów. W 1517 r. władzę w Palestynie przejęli muzułmańscy Turcy. Ponieważ mnisi aktywnie popierali nowy rząd w Stambule, tureckie władze właśnie im powierzyły zwierzchnictwo nad bazyliką. Franciszkanie odzyskali jej część i całą grotę dopiero w 1690 r., a w 1717 r. wmurowali w posadzkę srebrną gwiazdę z napisem „*Hic de*

MURY JEROZOLIMY

Od murów Starego Miasta w Jerozolimie do Betlejem jest zaledwie 9 km. Dla Palestyńczyków pokonanie tej odległości to jednak długa i skomplikowana droga, nie tylko przez historię.



FOT. SHUTTERSTOCK

Virgine Maria Jesus Chrystus natus est. 1717
 („Tu z Maryi Dziewicy narodził się Jezus Chrystus. 1717”).

Już w 1757 r. bazylika i grotta ponownie trafiły w ręce Greków, którzy w 1847 r. usunęli srebrną gwiazdę. Było to jedną z przyczyn wybuchu wojny krymskiej, w której chodziło m.in. o prawa duchowieństwa prawosławnego lub katolickiego do opieki nad miejscami chrześcijańskimi w Imperium Osmańskim. Po stronie katolików opowiedziała się dyplomacja francuska, a po stronie prawosławnych – rosyjska. Rosja stanęła wówczas naprzeciw Turcji, Francji, Sardynii i Anglii. Poniosła klęskę, a w traktacie pokojowym zapisano, że gwiazda ma wrócić na swoje miejsce, a napis na niej ma pozostać łański.

SCHRONIENIE ŚWIĘTEJ RODZINY

Wejście do Groty Mlecznej znajdującej się na tyłach bazyliki Narodzenia. Jej ładny fronton i obudowa sugerują, że jest tutaj świątynia. Według niektórych przekazów to w tej właśnie zwykłej grocie Święta Rodzina szykowała ucieczkę do Egiptu.

Wejścia do samej Groty Narodzenia znajdują się we wnętrzu prawosławnej bazyliki, z dwóch stron platformy przed ikonostasem. Tam też, w dole prawosławnego ołtarza narodzenia, znajduje się czternastoramienna srebrna gwiazda. Tuż obok jest ołtarz katolicki – miejsce symbolicznego żłóbka. Ściany Groty Narodzenia w 1873 r. zostały osłonięte ognioodporną tapetą, подарowaną przez ówczesnego prezydenta Francji Patrice’a Mac-Mahona. Umieszczono ją po pożarze z 1869 r., kiedy przez nieuwagę pielgrzymów zapaliła się kotara zawieszona u ściany groty.

Grotta (12,3 na 3,5 m) znajduje się w podziemiach bazyliki i jest pozbawiona dopływu naturalnego światła. Jej wnętrza rozświetlają, oprócz lamp elektrycznych, 53 lampy oliwne.

Ich użycie ściśle reguluje obowiązujące na terenie bazyliki *status quo*, np. do kościoła rzymskokatolickiego należy 19 lamp oraz cztery lampy, które dzień i noc palą się w pobliżu srebrnej gwiazdy.

Tuż obok bazyliki w 1888 r. franciszkanie z Kustodii Ziemi Świętej wybudowali klasztor i kościół św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Zastąpił on wcześniejszy, średniowieczny budynek. To właśnie z tego kościoła światowe stacje transmitują każdego roku Pasterkę.

GROTA MLECZNA

W bocznej uliczce, na tyłach bazyliki Narodzenia znajduje się sanktuarium Groty Mlecznej. Wykopaliska prowadzone przez naukowców z Franciszkańskiego Studium Biblijnego wykazały, że miejsce to było czczone przez chrześcijan w okresie bizantyjskim i w czasie podbojów krzyżowców. Odnaleziono groby i posadzki mozaikowe z tych okresów, które świadczą, że istniał tu kościół. Nazwa Groty Mlecznej bezpośrednio nawiązuje do barwy jej ścian, które w odróżnieniu do pozostałych skał w okolicy są mlecznobiałe.



FOT. REVATA SEDMAQWA - SHUTTERSTOCK



FOT. PAT JACKEY - SHUTTERSTOCK

Przy wejściu do groty palestyńscy chrześcijanie wybudowali w 1935 r. okazały fronton, który – mogłoby się wydawać – będzie prowadzić do niewielkiego kościoła lub okazałej kaplicy. Jednak gdy się wchodzi do środka, od razu można się domyślić, że jest to naturalna grotta. Wewnątrz, w niewielkim wgłębieniu skalnym, znajduje się rzeźba przedstawiająca Świętą Rodzinę podczas ucieczki do Egiptu. Tradycja chrześcijańska podaje, że właśnie w tej grocie Maryja z Józefem i nowo narodzonym Jezusem przygotowywała się do ucieczki do Egiptu, po tym jak Józef we śnie ujrzał anioła, który nakazał mu opuścić Ziemię Świętą. Grotę utożsamia się ze wszystkimi dziećmi, które zostały zgładzone przez Heroda, i nazywa się ich Świętymi Młodziankami. Tradycja chrześcijańska uważa ich za pierwszych męczenników, a niektóre podania głoszą, że być może Grotta Mleczna była miejscem ich pochówku.

W głębi groty na jednej ze ścian wisi obraz Matki Boskiej Karmiącej, który nawiązuje bezpośrednio do tradycji palestyńskich chrześcijan. Według podań Matka Boska w drodze do Egiptu zatrzymała się tutaj, aby nakarmić niemowlę. Kilka kropli mleka spadło na skałę i w jednej chwili cała grotta przybrała mlecznobiałą barwę. Pobierające miękką skałę palestyńskie kobiety wierzą, że pomoże im ona w problemach rozrodczych i macierzyńskich.

W sanktuarium od kwietnia 2009 r. znajduje się kopia figury Matki Bożej z Ludźmierza,

a w niewielkiej kaplicy adoracyjnej położonej obok grotty umieszczono ołtarz Tryptyk Jerozolimski, wykonany przez gdańskiego złotnika bursztyownika Mariusza Drapikowskiego. Dzieło nawiązuje do biblijnego tematu zaczerpniętego z Apokalipsy św. Jana. Zamknięty tryptyk przypomina metalową płaskorzeźbę, na której widnieje wyobrażenie ukrzyżowanego Chrystusa w otoczeniu Jerozolimy. Po otwarciu ołtarz ukazuje wyobrażenie Jeruzalem otoczonego drzewami oliwnymi, na których znajduje się wiele krzyży różnych odłamów chrześcijaństwa.

KUP PAMIĄTKĘ OD CHRZEŚCIJANINA

Dzisiejsze Betlejem to schludne, niewielkie miasteczko, w którym mieszka około 35 tys. ludzi, z czego 8 tys. stanowią arabscy chrześcijanie. Centrum miasta tworzy wielokrotnie przebudowywany plac Żłóbka otoczony przez budynki użyteczności publicznej. Znajduje się tam: Poczta Palestyny, sklepy, restauracje, meczet oraz Centrum Pokoju, którego zadaniem jest wspieranie procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie. Wszystkie budynki idealnie współgrają kolorystycznie i nie narzucają swojego kształtu dominującej nad placem bazylice Narodzenia.

Betlejem jest dobrze zorganizowane pod względem obsługi turystów. Palestyńczycy wiedzą, że odwiedzający ich obywatele innych narodów są czasami jedynym oknem na świat i tylko oni mogą opowiedzieć o trudnej sytuacji miejscowych. Ceny w części palestyńskiej są dużo niższe niż w izraelskiej, warto więc „za murem” zjeść typowy arabski obiad czy kupić pamiątki.

Na szczególną uwagę zasługują szopki i pojedyncze figurki wykonane z drewna oliwnego. Pamiątki najlepiej kupować w sklepach prowadzonych przez arabskich chrześcijan. Pozostawione tam pieniądze wzbogacają tę społeczność i utwierdzają ich w wierze, że świat o nich nie zapomni. ○

ŚCIANY PŁODNOŚCI

Wierzy się, że miękki pył skalny z białych ścian Groty Mlecznej, gdzie przebywali Józef, Maria oraz Nowonarodzony, może pomóc przy problemach związanych z bezpłodnością. Przez ciągłe pobieranie tufu trudno dziś ustalić pierwotną formę i wielkość groty.



Radosław Kożuszek

Wykładowca akademicki. Prowadzi programy podróżnicze i kulinarne w Polskim Radiu PiK oraz Radiu Emaus. Autor licznych artykułów i przewodników turystycznych.



Paweł Wilk

PIĘKNO ODMIENNOŚCI



Boliwia to kraj łamiący europejskie poczucie logiki. Boliwijczyk nie dziwi, że lodowiec wznosi się ponad tropikalnym lasem i że szamański rytuał jest odprawiany podczas katolickiego święta. Boliwijczyk żyje chwilą, a czeka całymi dniami... Zасыpia na pustyni, a budzi się w dżungli...

JAZDA POD SAJAMĄ

Park Narodowy Sajama leży w północno-zachodniej części departamentu Oruro w Boliwii. Został utworzony w 1939 r. na obszarze o powierzchni 1002 km². Nazwa parku pochodzi od leżącego w jego obrębie wulkanu Sajama (6542 m n.p.m.).

W*iphala* to wielobarwna flaga, która jest oficjalnym symbolem rdzennej ludności boliwijskiej. Strukturą oraz barwą przypomina tęczę. Jest wyśmienitą ilustracją współistnienia wielu plemion na jednej ziemi. Indianie plemienia Ajmara, Keczua, Tacana czy też mieszkańcy mniejszości afroboliwijskiej od wielu lat żyją obok siebie spokojnie.

Każde z miejsc, które odwiedziłem i opisałem, leży mniej niż dzień drogi od La Paz. Każde w innym kierunku świata. Pozwala to poczuć magię boliwijskiego kalejdoskopu. W imponującym i prawie niezamieszkanym parku narodowym Sajama usłyszałem ciszę. Podczas zabawy karnawałowej w Oruro poczułem radość i moc kolorów roztańczonego tłumu. Wiecznie zielone lasy okalające Rurrenabaque nauczyły mnie szacunku do natury.



Po Boliwii podróżowałem bez pośpiechu. Byłem uczestnikiem półrocznego projektu w zakładzie karnym Qalauma znajdującym się w pobliżu La Paz. Mogłem bez presji czasu i ze spokojem zagłębić się w życie mieszkańców tego kraju.

SAJAMA – ŚPIĄCY OLBRZYM

Dotychczas spokojna podróż do wsi Sajama została przerwana w miasteczku Patacamaya, gdzie planowałem przesiadkę. Natrafiłem na regionalne święto. Dowiedziałem się, że tego dnia nie wyjedzie żaden bus w stronę parku. Szczęśliwie z pomocą przyszedł mi kierowca ciężarówki zmierzający w stronę chilijskiej granicy. I tak do Sajamy dojechałem z butlą gazu między nogami, słuchając m.in. opowieści o cenach mięsa lamy. Przy okazji wiekowa Indianka, która była towarzyszką wspólnej podróży, zaprezentowała nam pieśni w języku ajmara. Jej słowa brzmiały następująco:

„Jak kroczyliśmy przez świat? Czasem smutni. Czasem modląc się i wznosząc. Niekiedy nigdy nie spotkamy szczęścia. Żyjemy na tej ziemi, ale jak przez nią kroczymy? Czasem nie jesteśmy spokojni, walczyliśmy i ranimy. Zwycięzamy tylko dla zwycięstwa. Jedni akceptują to, jak ich Ziemia stworzyła, inni nie. Tych, którzy sprzeciwiają się prawom Ziemi, spotyka kara”.

Kult Pachamamy, czyli Matki Ziemi, jest w Boliwii powszechny, nawet wśród młodzieży zamieszkującej duże miasta.

W centrum Parku Narodowego Sajama wznosi się wulkan Sajama o wysokości 6542 m n.p.m. Teren pomiędzy jego szczytem a innymi równie



FOT. PAWEŁ WILK

okazałymi wulkanami jest dość płaski. Połączenie to wrazenie ogromu. Niska oraz trawiasta roślinność jest efektem panujących tu trudnych warunków klimatycznych. Ciepłym i słonecznym dniom towarzyszą przenikliwe zimne noce (nawet -10°C czy -15°C). A znajdujące się na terenie rezerwatu gorące źródła oraz gejzery są wspomnieniem mocy drzemiącej niegdyś w wulkanie Sajama.

Podczas całodniowej wyprawy ścieżkami rezerwatu spotkałem zaledwie kilka osób – pasterzy służących dobrą radą oraz turystów. Park Narodowy Sajama to przede wszystkim ogromne przestrzenie i tysiące lam i alpак pasących się swobodnie na rozległych pastwiskach. Lamy są bardzo płochliwe, lecz zarazem ciekawskie. Zaintrygowane przybysem, towarzyszyły mi przez pewne odcinki drogi w stadach po 10–20 osobników.

Miejszem zasłużonego wypoczynku po wyczerpującej wędrówce było jezioro Huañacota, gdzie przebywały stada zamieszkujących je dzikich flamingów.

ORURO – OPOWIEŚĆ O SZACUNKU

Oruro jako miasto jest ponure. Ma niewielkie centrum, większość miejscowości jest zbudowana z ceglanych budynków i modernistycznych stalowych pomników. Każdego roku, przez kilka dni, miejscowość ta olśniewa

FLAMING KRÓTKODZIOPY

Gatunek przez pewien czas uważany był za wymarły. Nadal jest zagrożony.



FOT. SARA TRISTOCK

jednak niespotykanym blaskiem. Staje się tak za sprawą złodzieja o imieniu Anselmo, który kiedyś tu rabował, aby pomagać ubogim. Pewnego dnia śmiertelnie ugodzony nożem schronił się w jaskini. Owa jaskinia okazała się miejscem objawienia Matki Boskiej, co z kolei stało się początkiem tutejszej tradycji karnawałowej. Kiedyś, w jej fazie początkowej, w uroczystościach w Oruro uczestniczyli tylko mężczyźni, będący zresztą w większości górnikami.

Dzisiejszy rozmach tego karnawału bije na głowę imprezy organizowane przez boliwijskie metropolie. W zabawę jest zaangażowanych około 30 tys. tancerek i tancerzy oraz prawie 10 tys. muzykantów, a możliwość uczestniczenia w niej oraz karnawałowej paradzie jest przywilejem. Prawo do tańca w Oruro wymaga wielu godzin poświęcenia na próbach oraz uiszczenia niemałej opłaty. Podczas zabawy są prezentowane wyłącznie różnorodne boliwijskie tradycje. Również muzyka grana przez orkiestry dęte, rozdzielające taneczne grupy, jest niezmienna.

„*Beso beso*” rozbrzmiewa z trybun, gdy mija je korowód *caporales*. W tej paradzie uczestniczą piękne dziewczyny rytmicznie kręcące krótkimi spódniczkami oraz energiczne grupy chłopców wykonujących perfekcyjnie skoordynowane podskoki. *Tobas*, czyli reprezentanci wywodzący się z obszaru amazońskiej dżungli, onieśmielają wachlarzem kolorów na okazałych pióropuszcach. *Tinku* to boliwijski taniec wojenny. Charakteryzują go zawarte w nim bojowe okrzyki oraz waleczne ciosy i uniki. Każdy z pasów ozdabiających biodra tancerzy jest trofeum po zwycięskiej walce.

W przeszłości walciono do śmierci, dziś w okolicach Cochabamby nadal odbywają się krwawe walki, a utoczona krew jest ofiarowywana Matce Ziemi. Z kolei *chacarera* temperamentem przypomina argentyńskie tango i jest zmysłowym powiewem południowych rejonów Boliwii, obfitych w wino i śpiew. W podróż w mistyczną historię kraju zabiera nas przemarsz Inków – królewskie złote stroje dostojnych postaci przypominają o potędze inkaskiej przedkolonialnej kultury. Karnawał w Oruro to wspólna opowieść o szacunku, ostoja wielu tradycji. To właśnie taniec pozwala im przetrwać we współczesnym świecie i docenić piękno odmienności.

Zabawy w Oruro nie ominęło też nie-szczęście. Podczas karnawału w 2014 r. zawaliła się kładka dla pieszych umiejscowiona nad trybunami. Raniła wiele osób, w tym tancerzy oraz muzyków, niektórych



śmiertelnie. Ale stwierdzenie „żyj chwilą” w Boliwii nabiera innego znaczenia... Po kilku godzinach zabaw wznowiono, a hołd ofiarom złożono właśnie przez tańiec i śpiew.

– *Boliwia już dawno by nie istniała, gdyby nie tanie piwo, zabawa i karnawał* – powiedział mi kiedyś znajomy w La Paz. Po trzech dniach karnawałowego szaleństwa potwierdzam, że w tych słowach tkwi dużo prawdy.

DECH ZAPIERA

Miasteczko Oruro leży na wysokości 3709 m n.p.m.





GRA NA TARCE?

Mężczyźni dmuchający w coś przypominającego fujary grają na tradycyjnym instrumencie o nazwie tarka.

NOWY ROK W AMAZONII

Rurrenabaque to małe miasteczko w leżącej na północy kraju prowincji Beni, oddalone od La Paz o prawie 500 km. Jest to przedsiónek boliwijskiej puszczy amazońskiej. Wyśmienite miejsce do oswojenia się z tropikalnym klimatem. Mieszkańcy wioski w większości przynależą do plemienia Tacana. Na życie zarabiają głównie handlem lokalnymi owocami oraz organizacją wypraw do dżungli.

Las Pampas, czyli wiecznie zielone tereny położone nad rzeką Yacuma, leżą około

czterech godzin drogi samochodem terenowym od miasteczka. Zaskakują różnorodnością zamieszkujących je zwierząt oraz obfitością flory. Są dobrą alternatywą dla coraz droższego oraz zatłoczonego Parku Narodowego Madidi.

– *Od lat polują tu na mieliznach. Nie ich wina, że postawiliśmy w tym miejscu obóz dla turystów* – z uśmiechem i spokojem powiedział nasz przewodnik Luis o kilku kajmanach schowanych pod drewnianym mostkiem, który był naszą przystanią. W porze deszczowej łódź to jedyny sposób poruszania się po



MORENADA W ORURO

Stroje oraz maski używane są do tańca *morenada*, czyli jednej z najważniejszych części karnawału w Oruro.



KOBIETY OD TINKU

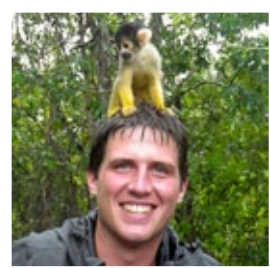
Uśmiechnięte towarzyski *tinku* – tanecznego pochodu twardych wojowników.

parku. Popołudniowa wycieczka dorzeczami Yacumy pozwoliła rozkoszować się także widokiem tukanów oraz stad kapibar. Licząca około 50 osobników grupa niewielkich kapucynek wyłoniła się z gęstych zarośli. Nad ich głowami zauważyłem z kolei dużego czarnego wyjca, który niczym strażnik okolicy siedział na konarze drzewa.

A w nocy? Tropikalny las nie śpi. Po zmierzchu rozpoczyna się tajemnicze przedstawienie. W tle rozbrzmiewa rechot żab. Wysoko nad głową utrzymuje się chmara latających

robaczek, świecących migającym, mocnym światłem. Całość tworzy iście hipnotyczne wrażenie. Potem czerwień wschodzącego słońca pięknie komponuje się z ciemną zielenią lasu. Na moment zapada cisza. Jednak już po chwili rozbrzmiewają ryki i wrzaski małp niosące się daleko. Budzą się też najosobliwsi mieszkańcy lasu: różowe delfiny rzeczne. Ufne i przyjazne, podpływają do łodzi na wyciągnięcie ręki. Niesamowite przeżycie!

W Las Pampas de Yacuma spędziłem kilka dni, w dzicy świętując Nowy Rok. ○



Paweł Wilk

Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, podróżnik oraz pilot wycieczek po Ameryce Południowej. Autor książki o tematyce południowoamerykańskiej. www.facebook.com/wilk.w.krainie.latynosow

KARP A SPRAWA POLSKA

Dariusz Jędrzejewski



Karp w tradycyjnej polskiej kuchni należał do ryb szlachetnych, których spożywanie było zarezerwowane na specjalne okazje. Trafiał na stoły magnackie, biskupie, książęce, czy nawet królewskie. Odmiany hodowlane były wręcz nazywane królewskimi. Od ponad 700 lat z hodowli karpi słyną okolice Zatora przy ujściu Skawy do Wisły.



WYPOCZYNEK Z RYBKĄ

Hodowle w Graboszytach – można tu powędkować, kupić złowioną rybę lub zjeść ją przyrządzoną w restauracji.

FOT. DARIUSZ FDRZEJEWSKI

Miało położone na wysokim brzegu Skawy jest otoczone rozległymi kompleksami stawów. W źródłach historycznych informacje o tutejszych stawach pojawiają się w końcu XIII w., choć pierwsze hodowle karpia założono tutaj prawdopodobnie już w XII w. Legendy mówią, że za przyczyną tatarskich jeńców.



WAWRZYNIEC KARP ZE SPYTKOWIC

Dlaczego Zator? Zdecydowała o tym obfitość wód Skawy, Wisły i mniejszych okolicznych rzek, a także bliskość bogatego Krakowa, dokąd ryby dostarczano łodziami Wisłą. Świeże karpie z Zatora trafiały na stoły Wawelu oraz do pałaców i kamienic magnatów i patrycjuszy. W okresach wielkiego zapotrzebowania na ryby bywało, że nie starczało dla nich wody w okolicy, co czasami doprowadzało do zatargów pomiędzy właścicielami stawów.

Konflikt o wodę pomiędzy Wawrzyńcem Myszkowskim ze Spytkowic a księciem zatorskim Janem doprowadził do zabójstwa tego drugiego, a w konsekwencji do przyłączenia ziem księstwa do Polski przez Zygmunta I Staroego. Tak oto karpie przyczyniały się nawet do zmiany granic I Rzeczypospolitej. Sam Wawrzyniec Myszkowski, zwany właśnie Karpem, największy hodowca ryb w regionie, został za to najpierw skazany na banicję, a potem zrehabilitowany za bohaterską postawę podczas bitwy pod Orszą pomiędzy wojskami polsko-litewskimi a moskiewskimi.

RYBA W SŁUŻBIE PROPAGANDY

Wigilia bez karpia? Jeszcze w przedwojennej Polsce był jedną z wielu ryb podawanych na wigilijnym stole. Dopiero za PRL-u karp zmonopolizował nasz stół wigilijny. Można właściwie powiedzieć, że jest jedną z ofiar propagandy komunistycznej.

ROMANTYCZNIE U KARPIA

Barokowy pałac w Osieku leżącym w Dolinie Karwia. Po przebudowie ok. 1840 r. przypomina baśniową, romantyczną budowlę.



Po II wojnie światowej w zniszczonej Polsce brakowało wszystkiego, w tym również żywności (zresztą, jak wiadomo, gospodarka socjalistyczna na niedobory cierpiała aż do swojego końca). Władze wiedziały, że Boże Narodzenie ma dla Polaków wyjątkowe znaczenie, więc przedświąteczne zaopatrzenie było oczkiem w głowie rządzących. Postawiono na karpia, który wydawał się idealny do zaspokojenia potrzeb tego wyjątkowego

czasu. Dzięki propagandzie udało się zaszcześcić w Polakach nową tradycję – że karp na stole to podstawa udanych Świąt, o które dba władza ludowa i jej dzielne służby zaopatrzeniowe.

SMACZNY, GALICYJSKI

Zator to największy dziś w Polsce zespół stawów hodujących karpie. Na dodatek dorobiły się one swojej własnej odmiany tej ryby.

Karp zatorski został zarejestrowany przez Komisję Europejską jako Chroniona Nazwa Pochodzenia. Przysługuje ona rybom hodowanym w stawach zlokalizowanych tylko w trzech gminach: Zator, Przeciszów i Spytkowice.

W historii karpia zatorskiego przełomowym wydarzeniem były doświadczenia hodowlane Adolfa Gascha z Kaniowa, wsi położonej



KARP ZATORSKI

To on, w całej okazałości! Smaczny, mięsisty i o kształtnej główce.

w dolinie Wisły, 30 km na zachód od Zatora. Wyhodował on odmianę karpia nazwaną karpem galicyjskim, za którą otrzymał złoty medal na wystawie rolniczej w Berlinie w 1880 r. Późniejsze doświadczenia hodowlane, selekcja i krzyżowanie z innymi odmianami dały w latach 50. XX w. linię zatorską karpia.

Ma on drobne łuski w kolorze oliwkowo-granatowym, małą głowę i masywne ciało z charakterystycznym, silnie wygiętym w łuk grzbietem, który przypomina garb. Jest rybą o dużym udziale mięsa w ogólnej masie ciała. Karp zatorski jest wyjątkowo smaczny i może być przyrządzany na wiele sposobów: smażony, pieczony, gotowany, marynowany oraz wędzony.

DOLINA WĘDKARZY I ORNITOLOGÓW

Lokalne samorządy gmin: Zator, Przeciszów, Spytkowice, Osiek, Brzeźnica i Polanka Wielka powołały do życia Dolinę Karpia. To wielki region hodowlany stawów rybnych rozciągający się u podnóża Beskidów w dolinie Wisły i dolnych odcinkach jej dopływów: Białej, Soły i Skawy. Ujście i dolny odcinek ostatniej z wymienionych rzek ze względu na wybitne walory przyrodnicze jest obszarem chronionym Natura 2000. Cały obszar Doliny Karpia to malowniczy park krajobrazowy, gdzie dominującą rolę w kształtowaniu pejzażu mają niezliczone stawy, kanały, rzeki, starorzeczca i potoki.

ŚW. ANDRZEJ NA SZLAKU

XVI-wieczny kościół pw. św. Andrzeja w Graboszycach to jeden z wielu okolicznych zabytków tworzących bogaty małopolski Szlak Architektury Drewnianej.

FOT. DARIUSZ JEDRZEJEWSKI





BEZ SPINY

Spinozaur był postrachem w trzeciej części cyklu Jurassic Park – tutaj jest atrakcją miejscowego parku rozrywki o nazwie Dinozatorland.

Powoli staje się on znany nie tylko garstce profesjonalistów oraz wędkarskich zapaleńców. Należy już do znanych centrów europejskiego wędkarstwa, zarówno za sprawą hodowanych karpia, jak i innych ryb: linów, szczupaków, amurów, sumów. Zespoły stawów z łowiskami komercyjnymi, licencyjnymi i specjalistycznymi, wypożyczalnie sprzętu wędkarskiego wraz z zapleczem gastronomicznym i noclegowym przyciągają tu amatorów wędkarstwa z całej Europy. Region doceniają także pasjonaci ornitologii, ponieważ stawy i ich okolice są wielkim gniazdowiskiem i żerowiskiem oraz miejscem odpoczynku wielu gatunków ptaków, także tych chronionych, jak: ślepowron, rybitwa białowąsa, bąk, bączek, zielonka.

Oferta Doliny Karpia jest skierowana nie tylko do wędkarzy i miłośników ptaków, ale

także wszystkich kochających naturę i piękne krajobrazy. Wyznaczono ścieżki ornitologiczne, szlaki piesze i rowerowe, którymi turyści mogą poznawać także atrakcje historyczne i zabytki architektury. Pośród wzgórz i stawów pięknie prezentują się drewniane kościoły Szlaku Architektury Drewnianej, m.in. w Palczowicach, Porębie Wielkiej, Graboszycach, Głębowicach. Zamki w Zatorze i Spytkowicach były kiedyś siedzibami książęcymi. Do ciekawostek krajobrazowych należy Pomnik Grunwaldzki nad brzegami stawów spytkowickich, upamiętniający 600-lecie bitwy pod Grunwaldem. Z kopca, na którym stoi pomnik, z lornetką w rękę można podglądać przyrodę nad stawami.

Miejscami rodzinnej rozrywki są parki tematyczne. Dinozatorland oferuje spotkanie



FOT. DARIUSZ JĘDRZEJEWSKI

z fauną prehistoryczną. Obok znajdują się parki Bajek i Wodnych Stworzeń oraz Mitologii. Jest jeszcze w Zatorze Energylandia – park z kolejkami górskimi oraz innego rodzaju atrakcjami z pewną dawką adrenaliny.

ZATOR ŚWIĄTECZNY

W okresie świątecznym karpie zatorskie można kupić w wielu miejscach Polski. Jednak tylko tutaj, w Zatorze i okolicach, jest dostępny cały asortyment wyrobów. Kupimy tu ryby żywe, jak też świeże i już oczyszczone, pokrojone w dzwonka lub filety. Możemy nabyć kawałki karpia wędzonego lub rybę w zalewie. Kiedy zgłodniejemy, warto wejść do restauracji i zamówić danie z karpia zatorskiego wprost ze stawów.

Polski Caravanning

Podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę, i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.

Ryszard Kapuściński

Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravanning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravanning.pl

R E K L A M A

Okazją do przedświątecznych zakupów jest kiermasz na Rynku w Zatorze, który co roku rozpoczyna się w weekend poprzedzający Wigilię. Prezentacje kulinariów odbywają się np. w Graboszycach nad Skawą, w pięknie położonym kompleksie rekreacyjnym Karpik. Okolicznych hodowców ryb spotkamy także przy drogach.

Warto też rozważyć przyjazd do Zatora w innym terminie, bo okazji i powodów nie brakuje. Największym wydarzeniem w ciągu roku jest Święto Karpia, odbywające się w Zatorze w pierwszy weekend lipca. Są kiermasze przed Wielkanocą oraz Żniwa Karpiove w październiku. Informacje można znaleźć na stronie: Centrum Informacji Turystycznej w Zatorze www.citdk.zator.pl.



Dariusz Jędrzejewski

Od 23 lat związany z wydawnictwami podróżniczymi. Warszawiak, który z miłości nie tylko do gór mieszka od 20 lat w Krakowie. Autor kilkunastu przewodników, głównie po Polsce. Laureat Magellana w 2015 r. za „wytrwale kreowanie mody na podróżowanie”.

GÓRA STOJĄCEGO INDIANINA

Zbocza Standing Indian Mountain w Karolinie Północnej porośnięte przez pierwotną amerykańską puszcze ze śladami niedawnego pożaru.

FOT. AGNIESZKA DZIAŁOBA



Agnieszka Dziadek

ŚLADAMI CZARNYCH NIEDZWIEDZI

Szlak Appalachów to dla Amerykanów swoista instytucja kultury. Został otwarty w 1937 r., po dwudziestu latach prac przygotowawczych, w epoce, kiedy nastąpiła moda na ucieczkę od cywilizacji. Postanowiłam samotnie przejść te 3,5 tys. km i 14 stanów.

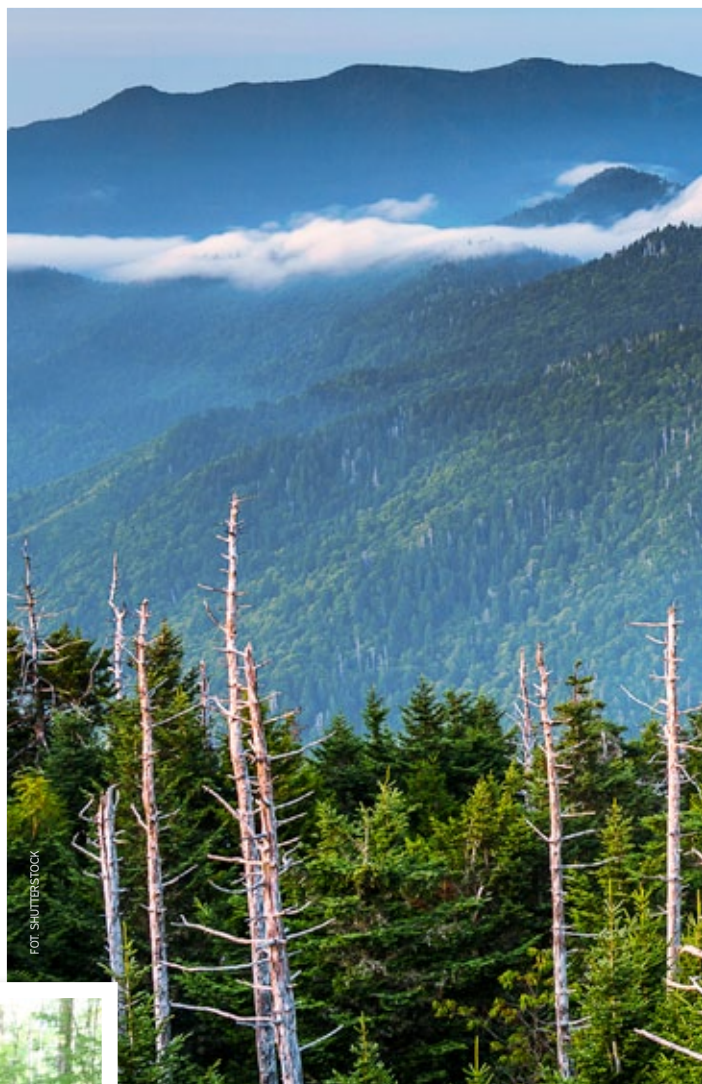
Pomysł na wytyczenie trasy wzdłuż całych Appalachów rzucił Benton MacKaye, za-inspirowany szlakiem Long Trail – najstarszym długodystansowym w USA (powstał w 1930 r.). Pierwszego przejścia Appalachian Trail dokonał Earl Shaffer w 1948 r., a pierwszą kobietą, która go pokonała samotnie, była 67-letnia Emma Gatewood, zwana Babcią. Już wcześniej wzbudziła sensację, bo rozwiodła się z mężem sadystą. Pokonanie szlaku było jej potrzebne dla potwierdzenia własnej wartości. Aby zademonstrować swoje nowe podejście do życia, spakowała się nadzwyczaj minimalistycznie. Zamiast ciężkich skórzanych butów włożyła zwykłe trampki, zamiast namiotu używała ceratowej zasłony prysznicowej.

IDŹ ZA BIAŁYM BŁYSKIEM

White Blaze to białe znaki szlaku malowane na drzewach i skałach. Prowadzą wędrowca przez ponad 3,5 tys. km.

WĘDRÓWKA Z WIOSNĄ

Dziś na szlak ludzie także wyruszają po to, żeby coś sobie i innym udowodnić. Spotkałam 83-latka, który ubiega się



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. KASJESZKA DZIOBEK

o tytuł najstarszego zdobywcy szlaku, oraz chłopaka z protezą nogi, który zresztą wszystkich wyprzedził. Są ludzie, którzy udają się na wędrowkę w przełomowym okresie życia: w przerwie między szkołą a studiami, studiami a pracą albo w momencie przejścia na

emeryturę. Niektóre pary na szlaku spędzają podróż poślubną.

Wspomniany Earl Shaffer opublikował relację ze swojego trekkingu w książce „Wędrowka z wiosną”. Szedł bowiem od wczesnej wiosny do końca lata z południa na północ, podążając za wiosennym ciepłem, w którym rozkwiatały coraz to nowe kwiaty. Postąpiłam w ten sam sposób. 29 marca stanęłam na szczycie Springer Mountain i zwróciłam się w kierunku odległego o 3523 km

Mount Katahdin. Te dwie góry stanowią krańce szlaku przebiegającego przez cały łańcuch Appalachów. Jest to bardzo stare pasmo, wypiętrzyły się w paleozoiku, podobnie jak nasze Sudety. Nie są wysokie – szczyty mają średnio 1200 m n.p.m., a najwyższy



Clingmans Dome ma 2025 m n.p.m. Są zbudowane ze skał odpornych na erozję, a więc często widocznych na powierzchni. Nie brakuje też piargów, klifów i urwisk. Szczególnie imponujące skały tworzą punkty widokowe. Każdy ma swoją nazwę, np. Wisząca Skała, Ząb Smoka, Pulpit.

Szlak Appalachów cały czas wiedzie przez las. Dla wielu wędrowców jest to męczące, doskwiera im brak rozległych widoków. Ja w lesie czuję się znakomicie, nawet gdy spędzam w nim samotne noce. Uwielbiam wtedy odgłosy lasu – pohukiwanie sów, szum drzew, tajemnicze szelesty...

W ciągu dnia widok ciągnącego się w nieskończoność zielonego tunelu urozmaicają drobiazgi. Ze stanu na stan – a jest ich do pokonania 14 – rozkwitają coraz to nowe kwiaty. Gdy wędrowałam przez Georgię i Karolinę

Północną, witałam wczesną wiosnę. Kwitły fiołki, bodziszki, zawilce, rozwijały się pączki liściastych drzew – dębów i klonów. Las dostarczał też dzikiego szczypiorku i czosnku niedźwiedziego do posypania kanapek.

W Wirginii, którą wędrowałam przez cały maj (to najdłuższy stan na szlaku, ma 890 km), właśnie rozkwiatały purpurowe rododendrony i złociste azalie. Tu też spotkałam najwięcej czarnych niedźwiedzi: 12 sztuk, w tym dwie samice, obie z parą młodych. Niedźwiedzie są dość płochliwe, na widok człowieka uciekają w las albo szybko wspinają się na drzewo. Jednak gdy przywabi je zapach jedzenia, potrafią zajrzeć do wiaty. Dla ochrony przed takimi wizytami należy wieszać worek z jedzeniem na drzewie. Czasami są przygotowane specjalne kable lub słupy do wieszania albo żelazne skrzynki.

TERAZ JUŻ Z GÓRKI
Z najwyższego szczytu
na całym szlaku,
Clingmans Dome
(2025 m n.p.m.),
rozpościera się
widok na główny
grzbiet Appalachów.

SYNDROM TRZECIEJ ĆWIARTKI

Na tym etapie wyćwiczyłam sobie dobowy rytm wędrówki. Mój dzienny limit przejścia miał wynosić około 26 km, ale okazało się, że z łatwością robię więcej. Pomógł w tym lekki bagaż – poszłam w ślady Babci Gatewood i starałam się spakować jak najmniej rzeczy. Mój plecak ważył 5,2 kg. Zawierał lekki namiot z Cubenu, puchowy śpiwór, kuchenkę gazową i okrycie od deszczu (spódniczkę przeciwdeszczową z silikonizowanego nylonu uszyłam sama). Do tego zapas jedzenia na kilka dni. Wyprawy po prowiant do najbliższego miasteczka odbywały się autostopem.

BEAR MOUNTAIN BRIDGE

Most na rzece Hudson w stanie Nowy Jork stanowi granicę Appalachów Południowych i Północnych.

Kierowcy wiedzieli, o co chodzi, i zabierali mnie prosto do supermarketu.

Czasami w miasteczkach były tanie lub wręcz darmowe hostele prowadzone przez gminy wyznaniowe. Chętnie z nich korzystałam, przeważnie jednak nocowałam pod wiatami, które są rozstawione na całym szlaku. To proste trzyścianowe drewniane konstrukcje z podłogą do spania. Mieści się w nich przeważnie 6–8 osób, ale jeśli trzeba – więcej. „*There is always room in the shelter*” – głosi prawo szlaku. W pobliżu wiat jest zwykle źródło wody. Czystych strumieni w ogóle nie brakuje, jak to w górach. Najdłuższy odcinek bez dostępu do wody wynosi 30 km. Znajduje się w Pensylwanii.



Przejsie przez ten stan jest frustrujace nie tylko z tego powodu – krajobraz jest tu monotonny, teren niby płaski, ale usłany ostrymi kamieniami. W Pensylwanii wypada też połowa szlaku. Jest w zwyczaju, że ten moment świętuje się spożyciem dwóch litrów lodów naraz. Należy to zadanie wykonać w 30 minut, a w nagrodę dostaje się kolejne pół litra. Nie podjęłam się.

W stanie New Jersey krajobraz znacznie się zmienia. Pojawiają się pofalowane zielone wzgórza, w kotlinach pomiędzy nimi kryją się niewielkie jeziora. Bagienny teren jest idealny dla komarów. Są ich miliardy, zwłaszcza że robi się upalnie. Fala upałów towarzyszyła mi przez

stan Nowy Jork. Mój humor siadł – to „syndrom trzeciej ćwiartki” – po osiągnięciu połowy człowiek uświadamia sobie, że do przejścia ma drugie tyle.

Na tym odcinku szlak wiedzie blisko wielkich metropolii. Znudzeni wędrowcy robili wycieczki do Waszyngtonu i Nowego Jorku, czasem już nie wracali z powrotem na szlak. Oparłam się tej pokusie, by nie robić przerw w wędrowaniu, tzw. „dni zero”. Rozrywką było przechodzenie kładkami nad autostradami, z których jedna prowadzi na Florydę, druga na Dzikie Zachód. Lubiłam przystanąć i pomachać kierowcom. Niektórzy pozdrawiali mnie klaksonem.



ŚCIEŻKAMI INDIAN

Na 1404. mili przekroczyłam rzekę Hudson – granicę Appalachów Południowych i Północnych. Niegdyś ta rzeka nazywała się Muh-he-kun-ne-tuk. Nazwa znaczy w języku Mohikanów „rzeka płynąca w obie strony”. Nową nazwę nadał Henry Hudson, który eksplorował te tereny z początkiem XVII w.

Plemiona te wojowały ze sobą, a następnie z białymi kolonizatorami. Na szlaku można zobaczyć wiele pamiątek po tych czasach w postaci fortów i posterunków wojskowych schowanych w lesie. Pozostało też trochę śladów po pierwszych białych osadnikach. W Wirginii widziałam stare cmentarze i resztki kamiennych ogrodzeń, samotne



FOT. SHUTTERSTOCK

KONIEC JUŻ BLISKI

Mount Katahdin to masyw wznoszący się ponad otaczający go lesisty płaskowyż, pełen krystalicznie czystych jezior i rzek.

Współcześnie funkcjonuje w Ameryce wiele indiańskich nazw geograficznych. Są to w zasadzie jedyne ślady po rdzennych mieszkańcach kraju. Appalachian Trail przechodzi przez tereny zamieszkiwane pierwotnie przez 6 plemion. Tereny od Georgii do Wirginii zamieszkiwało plemię Cherokee, północną i zachodnią Wirginię – Catawba, Pensylwanię – Susquehannock, New Jersey – Delaware, Nowy Jork wspomniani wyżej Mohikanie, a całe góry obecnej Nowej Anglii aż do Maine włącznie – Abenaki.

kominy, rozpadające się drewniane młyny, zdziczałe jabłonie. W Pensylwanii natknęłam się na pozostałości kopalni węgla. Materialne ślady po Indianach pochodzą głównie z wykopalisk. Różne kamienne narzędzia, groty strzał, okruchy ceramiki można oglądać w muzeach w New Jersey, Waszyngtonie, Nowym Jorku.

Chęć podążania śladami Indian była jednym z powodów, dla których znalazłam się na leśnej ścieżce w Appalachach. Świadomość, że 300 lat temu chodzili po niej jedynie



tubylcy, poruszała moją wyobraźnię. Gęsty las z przemykającymi jeleniami, słońce zachodzące nad jeziorem, szumiące kaskady rzek – wszystko wyglądało jak w indiańskiej powieści.

STUMILOWA DZICZ

Im dalej na północ, tym trudniej. Massachusetts było ostatnim stanem, w którym udało mi się przejść więcej niż 45 km w jeden dzień. Góry robiły się coraz wyższe. Zmienił się także las, na typowo borealny, świerkowy, przypominający tatrzański regiel. Jego niezwykła zieleń została utrwalona we francuskiej nazwie stanu Vermont, która oznacza właśnie „zielone góry”.

Gdy dotarłam do granicy Vermontu i New Hampshire, musiałam się zmierzyć z załamaniem pogody. Wydano ostrzeżenie o nadciągających tornadach, a z nieba zaczęły lać się strugi wody. W ciągu pół godziny spadło jej 40 litrów na metr kwadratowy. Małe strumyki wezbra-



ły, a następnego dnia okazało się, że powódź zniosła mosty i porwała z szos kawały asfaltu. Drogi stały się nieprzejezdne, a jednak udało mi się dojechać autostopem do miasteczka, w którym czekała na mnie na poczcie paczka z zapasowymi rzeczami. Wreszcie mogłam

wymienić podartą koszulkę – czynem tym uczciłam wypadający następnego dnia Dzień Niepodległości (4 lipca).

New Hampshire jest stanem najbardziej wymagającym i budzącym obawy wędrowców. Zaczyna się prawdziwa wspinaczka po skałach. Szczyty głównego pasma tego stanu – White Mountains – leżą powyżej górnej granicy lasu. Widoki są wspaniałe. Strony te odwiedza wielu turystów, dla których zbudowano kosztowne górskie schroniska (cena noclegu – 150 dolarów). Jednak hikerom przysługuje prawo nocowania na podłodze w zamian za wykonanie drobnych prac. Mnie zaproponowano robienie porządku w zapasach żywności i wyczyszczenie pieca.

Odetchnęłam, gdy osiągnęłam granicę Maine, a tymczasem wcale nie zrobiło się łatwiej. Na trasie wyrastały coraz większe skały, szczyty pokrywała jednolita gładka powierzchnia skalna, która w deszczu robiła się bardzo śliska. Trzeba było podciągać się na korzeniach i zjeżdżać w dół.

Kulminacją tych przeszkód był tzw. Maahoosuc Notch, najtrudniejsza mila na szlaku – jest to kanion zawałony blokami skalnymi wielkości samochodu. W utworzonych przez nie szczelinach zalegał śnieg, na głowę lał się deszcz... Po prawie trzech godzinach wydostałam się z kanionu z lekką hipotermią. Musiałam jeszcze wspiąć się na dwie inne góry. I tak wyglądały kolejne dni. Ulgę przyniosła północ Maine – obszar zwany Hundred-Mile Wilderness. Są tam przyjemne płaskie odcinki, na których można rozwinąć normalną prędkość. Życie umilają jeziora, w których można się kąpać. Pływają po nich ptaki, słychać charakterystyczne okrzyki nurów.

Hundred-Mile Wilderness kończy się u stóp Mount Katahdin, która wieńczy całą wędrówkę. Dotarłam tu 28 lipca, po 122 dniach wędrówki. Góra ma 1605 m n.p.m., jest pokryta piarżyskami, a ścieżka prowadząca na szczyt kluczy między wielkimi głazami. Gdy wydostałam się z tego labiryntu, zobaczyłam od dawna wyczekiwany obiekt: tablicę z informacją, że oto tu znajduje się północny kraniec Szlaku Appalachów. Jeszcze tylko fotografia pod tablicą i mogę obwieścić światu swój sukces: doszłam! ○

DZIEŃ 122.

Szczyt Mount Katahdin w stanie Maine to północny kraniec Appalachian Trail. Samotna wędrowka skończyła się tu 28 lipca 2017 r. o godzinie 14.15.



Agnieszka Dziadek

Z wykształcenia geograf, z zamiłowania podróżniczka i blogerka. Wędruje samotnie, a jej marzeniem jest przejście wszystkich długodystansowych szlaków świata. Na razie ma na koncie 12 tys. km, w tym przejścia nowozelandzkiego Te Araroa i amerykańskiego Appalachian Trail. Prowadzi kanał na YouTube: [pierwotna85](#) i bloga [acrossthewilderness](#)

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

PODRÓŻE NA KINOWYM EKRANIE

Siedemnasta edycja Festiwalu Slajdów Podróżniczych TERRA odbędzie się 2 i 3 grudnia w warszawskim kinie Wisła. Miłośnicy podróży zobaczą zdjęcia wyświetlane na wielkim ekranie i usłyszą relacje podróżników, reporterów i fotografów. W programie: odkrywanie południa Indii, reporterski rok w Ameryce Łacińskiej, podróże po mało znanej Afryce Środkowej, rowerowa ekspedycja przez zimową Grenlandię, piesze przejście przez Izrael, zjawiskowe zdjęcia z gór Polski, pełna emocji opowieść o Gambii, rowerowe wyprawy przez afgański i tadżycki Pamir.

Gośćmi festiwalu będą: Maja Hawranek i Szymon Opryszek – reporterzy i specjaliści od Ameryki Łacińskiej, Mariusz Jachimczuk – fotograf zafascynowany ludźmi i przyrodą, Jakub Rybicki – fotograf i zimowy jeździec rowerowy, Łukasz Supergan – specjalista od długodystansowych pieszych wędrówek, Dominik Skurzak – fotoreporter i znawca Afryki, Karol Nienartowicz – uznany fotograf górski oraz Alicja Rapsiewicz i Andrzej Budnik – autorzy bloga podróżniczego Los Wiaheros. Więcej informacji: www.festiwalTerra.pl



ROWEROWA
JAPONIA



ROWEROWA JAPONIA

Anna Majchrzak i Paweł Szymański wyruszają 5 grudnia do Tokio, by spędzić 9 miesięcy w Japonii i Korei Południowej. Zabierają własny środek transportu – rowery, i własne zakwaterowanie – namiot. Chcą zwiedzić wyspy Yakushima, Jeju, Park Narodowy Kirishima-Yaku. Koreę Południową planują objechać dookoła lub wzdłuż trasy rowerowej z północy na południe, po ukończeniu której można dostać medal. Liczą na to, że dzięki zainteresowaniu funkcjonowaniem społeczeństwa, mitologią i japońskimi wierzeniami uchylą choć rąbką tajemnicy, jaką jest życie azjatyckich wyspiarzy.

WINTERCAMP



FOT. WINTERCAMP.ORG.PL

Entuzjaści górskich zimowych eksploracji będą mogli zgłębić swoją wiedzę i poprawić umiejętności podczas największego w Polsce i jednego z największych w Europie szkoleniowego biwaku zimowego. Bazą imprezy będzie po raz kolejny schronisko Turbacz, wokół którego powstanie miasteczko namiotowe. Będzie w nim nocować większość z uczestników szkolenia. Tej zimy są planowane dwie edycje. Pierwsza w terminie 8–11 lutego jest przeznaczona głównie dla rodzin z dziećmi. Kilka dni później, w dniach 15–18 lutego, odbędzie się kolejna w Gorcach. Zapisy już trwają: wintercamp.org.pl

STUDENCKIE MENAŻKI

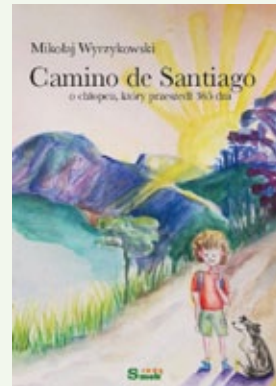
Skierowane do studentów z całego kraju, którzy pasjonują się małymi i dużymi podróżami. Mile widziane są również osoby, które chcą poznać nowych ludzi, znaleźć inspirację albo pretekst do wyruszenia w podróż marzeń. Każdy ze zgłoszonych uczestników opowie o swoich tegorocznych wyprawach. Podróżnicy udzielą również wskazówek, jak w łatwy i niedrogi sposób zwiedzić trochę świata.

Menażki odbywają się od 2011 r. na terenie kampusu Uniwersytetu Gdańskiego. W trakcie pięciu ostatnich edycji przez festiwal przewinęło się ponad stu podróżników i podróżniczek. Szósta edycja odbędzie się w dniach 15–17 grudnia. Pierwszy dzień to oficjalne rozpoczęcie, które otworzy pokaz filmu, a także spotkanie z podróżnikami. W pozostałe dwa dni zainteresowani będą mieli okazję zobaczyć prezentację uczestników. www.ack.ug.edu.pl



O CHŁOPCU, KTÓRY PRZESZEDŁ 365 DNI

Camino de Santiago: o chłopcu, który przeszedł „365 dni” to uniwersalna opowieść dla dzieci i dorosłych. Książka opowiada historię chłopca, który



wraz ze swoim wiernym psem wyrusza na Camino de Santiago, aby dorosnąć: zamierza przejść 365 km, które liczy jak kolejne dni prowadzące go do dorosłości. To opowieść łącząca prawdziwą podróż oraz bajkowe widzenie świata, gdyż słynna droga jest widziana oczami dziecka. Szlak św. Jakuba staje się w niej tylko pretekstem do

pokazania zmian, jakie zachodzą w chłopcu podczas pokonywania kolejnych „kilometrodni”. Powieść jest oparta na elementach autobiograficznych, bo Mikołaj Wyrzykowski sam przeszedł ten odcinek szlaku w podobnym celu co chłopiec. Wydawnictwo Rudy Smok.

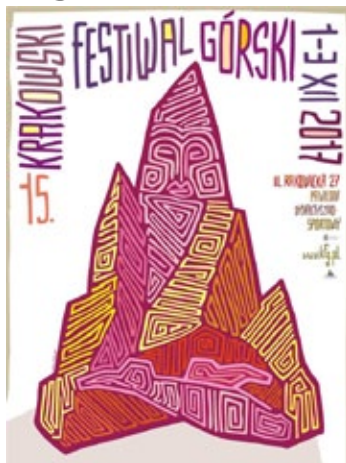
GLOBSTORY W INDOCHINACH



Podczas dwumiesięcznej podróży przez 4 kraje (Tajlandię, Kambodżę, Laos i Wietnam) Kaja Kraska pokaże inne oblicze tego regionu. Filmy z podróży będą mieć charakter vlogów – spontanicznej dokumentacji całości wyprawy z perspektywy samotnie podróżującej kobiety. Jako że filmy są oparte na bieżących wydarzeniach, trudno konkretnie określić tematykę vlogów. Będą nimi na przykład: „Bangkok – światowa stolica rozrywki”, „Czy w Azji naprawdę jedzą robaki” i wiele innych. Więcej na kanale YouTube: [Globstory](https://www.youtube.com/channel/UC...)

Dla miłośników gór

W dniach 1–3 grudnia na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie odbędzie się 15. edycja największego polskiego i jednego z największych europejskich wydarzeń dla miłośników gór, czyli Krakowskiego Festiwalu Górskiego. Co roku KFG przyciąga 5 tys. uczestników. Tym razem o swoich dokonaniach opowiedzą m.in. Ines Papert, Peter Habeler, Marek Holeček, Davo Karničar, Ermanno Salvaterra, Matt Heliker oraz Michi Wohlleben. Do zagranicznych gości dołączą rodzimi wspinacze. Nie zabraknie także głównego tematu tego sezonu, czyli polskiej próby pierwszego zimowego wejścia na K2. Odbędą się prezentacje filmów o tematyce górskiej, warsztaty, a także kiermasz sprzętu i odzieży outdoorowej.



MIKOŁAJKOWY KOMPAS

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, 9 grudnia, w gdyńskiej dzielnicy Mały Kack odbędzie się Mikolajkowy Kompas. Do wyboru są cztery trasy piesze: Smerfowa – 5 km, Różowa – 10 km, Zielona – 12,5 km, Czarna – 15 km oraz rowerowa trasa Żółta – 30 km. Na wszystkich uczestników czekają bogate pakiety startowe, mikolajkowe czapki, kolorowe numery startowe, obfity rajdowy bufet i nagrody, o które warto powalczyć. Informacje i zapisy: www.zkompasem.pl



ZIMOWY ŁUK KARPAT

Weronika Łukaszewska i Sławomir Sanocki zamierzają pokonać pieszo łańcuch Karpłat zimą. Para przeszła już to pasmo latem w 2015 r. Tym razem zamierzają podjąć wyzwanie w 89 dni. Do tej pory Karpaty przeszło kilkanaście wypraw, wśród uczestników były tylko 3 kobiety. Jednak nikt nie dokonał tego zimą. Aby pokonać cały łańcuch trasą, która liczy 2000 km, wędrowcy muszą przejść dziennie na rakietach śnieżnych dystans ponad 20 km. W Karpatach nie ma jednego szlaku głównego. Trzeba samemu wyznaczać trasę. Na pewnych odcinkach nie ma szlaków w ogóle bądź od lat nikt ich nie używał. Wówczas pozostaje kompas i mapa lub GPS. W czasie letniego przejścia wielokrotnie musieli wycofywać się ze względu na ilość śniegu. Nie oszczędziły ich też losowe wypadki. Mimo przeciwności nie poddali się i dotarli do mety swojej wędrówki w Bratysławie. Teraz ponownie będą zmagać się z wyzwaniami, takimi jak surowe warunki zimowe, huraganowe zawieje, zasypany śniegiem i mrozy sięgające w górach -35°C . Będą dźwigać ciężkie plecaki i spać pod namiotem. Wyprawę będą opisywać na blogu www.karpатыzima.pl oraz relacjonować na bieżąco na [Facebook.com/Lukkarpatzima](https://www.facebook.com/Lukkarpatzima).

AKADEMIA OUTDOOROWCÓW



Tegoroczne ISPO Academy odbyło się w Wierchomli w Hotelu Ski & SPA. Bliższe 200 osób w ciągu 3 dni miało możliwość zdobycia wiedzy i poszerzenia horyzontów z zakresu branży outdoorowej. Tematyka wykładów, szkoleń, konferencji prasowych i dyskusji co roku jest dostosowywana do oczekiwań uczestników. Ankiety dotyczące wydarzenia wpłyną na jego kształt w sezonie 2018. Już teraz zapraszamy do udziału w przyszłorocznej edycji. www.ispocademy.pl

REGATTA
GREAT OUTDOORS[®]

KURTKA AZUMA

CENA
499 zł

CENA Z KARTĄ
GREATCARD
199,99 zł

IMPREGNACJA DWR CHRONI
PRZED WODĄ I ZABRUDZENIAMI

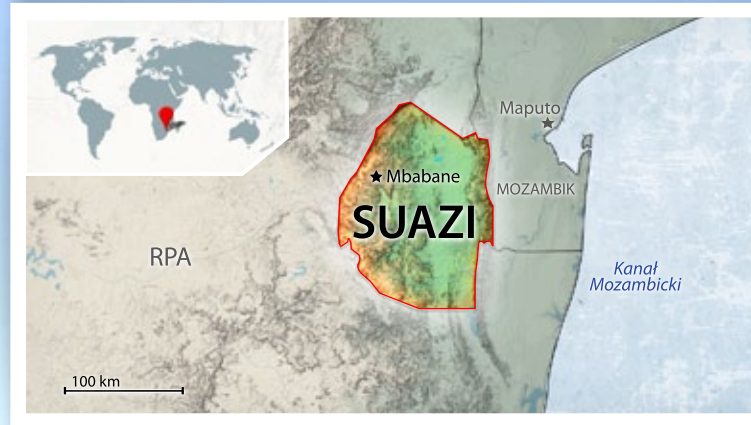
LEKKOŚĆ

BARDZO CIEPŁA

#NaKażdąPrzygodę

WWW.REGATTA.COM





OSTATNIA MONARCHIA

Elżbieta i Piotr Hajduk

Po ubitym placu przechodzi tanecznym krokiem barwny korowód młodych, ciemnoskórych dziewcząt. Długie trzciny w ich rękach kołyszą się na wietrze. Z przeciwnej strony wychodzą półnaczy, ubrani w zwierzęce skóry wojownicy. Jeden z nich ma wpięte we włosy czerwone pióra ptaków. To król.

Suazi jest malutkim państwkiem otoczonym z trzech stron przez Republikę Południowej Afryki. Tylko niewielki odcinek kraju graniczy z Mozambikiem. Wygląda jak uboga wyspa na oceanie bogatego sąsiada. Jednak ten niewielki naród ma swoją historię, dzielnego króla i śni własny sen o potęgze.

Ta ostatnia na afrykańskim kontynencie monarchia absolutna odzyskała niepodległość w 1968 r. Konstytucję, pozostawioną przez Brytyjczyków, podarł uroczyste Sobhuza II, ojciec obecnego przywódcy. Od tej chwili cała władza tego ubogiego kraju jest skupiona w rękach bajecznie bogatego imperatora. Mimo że większość mieszkańców kraju żyje

na granicy nędzy, panujący nie chce dzielić się fortuną z poddanymi. W końcu utrzymanie dworu to kosztowna sprawa, a liczne zachcianki też niemało środków pochłaniają. Jednak władca, jako zagorzały strażnik miejscowej tradycji, jest dobrze postrzegany przez większość obywateli, a ewentualnej opozycji zawsze można odebrać głos. Zresztą działanie partii opozycyjnych jest w Suazi surowo zakazane.

PORT BEZ MORZA

Porządnie utrzymana szosa biegnie przez wioski rozrzucone wśród pól. Także tutaj powoli dociera cywilizacja. Ubodzy poddani

ZAPLECZE MONARCHII

Poddani bajecznie bogatego króla żyją biednie. Obok domów murowanych wciąż jeszcze spotyka się tradycyjne, okrągłe chatki o spadzistych, krytych trzcina dachach.



mieszkali niegdyś w okrągłych chatkach o spadzistych dachach krytych trzcina. Dzisiaj coraz częściej zamieniają je na murowane, prostokątne domy, najczęściej jednoizbowe. Dachy z blachy falistej lśnią w afrykańskim słońcu. Na przyjezdnych patrzy się z uśmiechem, bo miejscowi dobrze znają potęgę turystyki. Także król stawia na rozwój tej branży. Z jego inicjatywy zostało niedawno wybudowane nowoczesne lotnisko Sikhuphe International Airport. Nieważne, że miejsce zostało wybrane dość niefortunnie, bo port znajduje się w szczerym polu, dość daleko od stolicy Mbabane i innych miast. Władca jest przekonany, że chociaż obecnie lądowisko świeci pustkami, już wkrótce zakasuje nawet Johannesburg.

Suazi to przecież piękny kraj i ma wiele do zaoferowania. W królewskich parkach znajduje się dużo dzikich zwierząt. Są nawet bardzo rzadkie czarne nosorożce, z których populacją bogaty sąsiad, RPA, ma wyraźny kłopot. Nie brakuje także lwów i słoni, a te przecież przyjezdni lubią oglądać najbardziej. Zwierzęta to nie wszystko. Malownicze góry przeciętane cudownymi szlakami kuszą

amatorów pieszych wędrówek, a rwące rzeki są wymarzone do raftingu.

Są także inne atrakcje. Niedaleko stolicy znajduje się Sibebe Rock, ogromny blok jednolitej skały, przypominający Uluru z Australii, tylko otoczenie jest nieco inne. U stóp góry toczy się normalne życie, bo nie jest to rezerwat. Nie ma infrastruktury czy sklepów z pamiątkami. Są skromne miejscowe gospodarstwa, stada domowego ptactwa i kóz oraz skubiące trawę krowy. Chociaż Sibebe urodą nie ustępuje krewniaczce z antypodów, raczej trudno do niej trafić.

Mimo że baza noclegowa jest całkiem dobrze rozwinięta, na masowy rozwój turystyki, który niewątpliwie wkrótce nastąpi, trzeba się odpowiednio przygotować. Właśnie jest budowane centrum kongresowe z luksusowym hotelem, a w planach jest jeszcze park rozrywki, centrum handlowe i kompleks sportowy. Ponieważ przydałby się także port morski, monarcha rozważa możliwość jego budowy. Co prawda kraj nie ma dostępu do morza, ale od czego inżynierska myśl techniczna? Kanał długości 70 km może przecież połączyć Suazi z Oceanem Indyjskim. Potem



FOT. ELZBIETA / FOTO P. HADUK



PANNA Z TRZCINĄ

Gotowe do tańca dziewczyny gromadzą się na placu. Długie trzciny w ich rękach podobno mają symbolizować dzidy.

jeszcze tylko reklama w międzynarodowych mediach i państwo Jego Wysokości zakasuje każdą konkurencję.

HEGEMON I WIELKA SŁONICA

Mswati III z dynastii Dlamini zasiadł na tronie w 1986 r., wkrótce po osiemnastych urodzinach. Aby rządzić krajem, przyjechał z Londynu, gdzie przez kilka lat pobierał nauki. Miał dużo szczęścia, że to on właśnie został wybrany na dziedzica tronu. Jego ojciec Sobhuza II miał podobno ponad sto oficjalnych żon i kilkaset dzieci. Jednak nie wyznaczył następcy, ponieważ w Suazi żaden król nie może tego sam uczynić. O wyborze władcy decyduje Liqoqo – niezależna, narodowa rada kraju. To ona, po śmierci monarchy, decyduje, która z jego żon zostanie Indlovukazi, czyli Wielką Słonicą – Królową Matką. Jej syn automatycznie staje się następcą. Wszystko zależy więc od kobiety, która musi odznaczać się odpowiednimi przymiotami, dobrym charakterem i – co najważniejsze – mieć tylko jednego potomka. W Suazi panujący nie może mieć braci.

Od chwili koronacji Mswati III jest monarchą absolutnym. Do niego należy wszelka, niczym nieograniczona władza nad blisko milionem poddanych. W trudach rządzenia wspiera go Rada Ministrów, kilkuosobowa grupa zaufanych doradców. Zgodnie z tradycją w celu pogłębienia relacji z każdą częścią kraju panujący powinien poślubić kobiety ze wszystkich miejscowych klanów. Oznacza to, że musi mieć wiele żon. Obecnie ma ich zaledwie kilkanaście, co świadczy o godnym podziwu umiarkowaniu. Pierwsze dwie zostały wybrane przez przedstawicieli Liqoqo. Należą do potężnych klanów Matsebula i Motsa. Te żony pełnią specjalne funkcje w tradycyjnych rytuałach, ale ich synowie nigdy nie mogą stać się królami. Kolejne towarzyszkich życia władcy może wybierać sobie sam.

FESTIWAL PIERWSZYCH OWOCÓW

Ana jest piękna świeżą urodą pierwszej młodości. Skóra jej twarzy przypomina gładki heban, a szerokie usta odsłaniają

w nieśmiałym uśmiechu zęby białe jak mleko kozy. Rozmarzone spojrzenie ciemnych oczu dodaje dziewczynie urody. Ana nie zwraca uwagi na chłopców ze swojej wioski, chociaż niejeden z nich ściga spojrzeniem urodziwą pannę. Ma tylko jedno marzenie, że to właśnie na niej spocznie wzrok króla. I to ona będzie kolejną wybraną. A potem, jak w bajce, monarcha zabierze ją z krytej słomą chaty rodziców do otoczonego wysokim murem pałacu.

Ana widziała panującego tylko kilka razy w życiu. Uważa, że on w pełni zasługuje na swój przydomek – Ngonyama, czyli Lew. Władca Suazi jest postawnym, dość przystojnym mężczyzną o zniewalającym uśmiechu. Zazwyczaj przebywa w pałacu i tylko przy okazji szczególnych uroczystości wychodzi spotkać się z ludem. Najczęściej ma to miejsce w trakcie dorocznych festiwalów Umhlanga lub Incwala. Od kilku lat Ana bierze udział w każdym z nich.

Ten drugi odbywa się na przełomie grudnia i stycznia i jest uznawany za największe święto narodu. Przygotowania zaczynają się już kilka tygodni wcześniej. Biorą w nich udział święci mężczyźni *Bemanti*, których zadaniem jest sprowadzenie z rzek i morza wody niezbędnej dla wzmocnienia króla. Specjalni wysłannicy udają się też po magiczne zioła rosnące w górach Lebombo. Po rytuałach związanych z przygotowaniem władca przystępuje do obchodów właściwego święta. Impreza trwa osiem dni, a każdy z nich ma swoją symbolikę. Ta barwna duchowa ceremonia powtarzana od setek lat jest określana często jako „festiwal pierwszych owoców”. Jednak spożywanie zbiorów nowego roku jest tylko częścią całego obrzędu. Incwala to długie tańce i śpiewy połączone z modlitwą do przodków o błogosławieństwo i opiekę, o dobre zbiory i uświęcenie królestwa. W imprezie biorą udział przedstawiciele wszystkich klanów, w tym najważniejsze osoby w państwie.

W święcie mogą uczestniczyć turyści, jednak znaczna część rytuałów, zwłaszcza tych z osobistym udziałem panującego, nie jest dostępna dla obcych oczu. Mówi się, że do niektórych obrzędów niezbędne są zwierzęta, ale to, do czego są wykorzystywane, może być zbyt szokujące. Według relacji naocznych



FOT. KOLLMEIER - WWPEDIA

świadków bliskie współżycie z bykiem należy do miejscowej tradycji, z czego o choczko podobno korzysta także i król.

SEN ANY

Wybór nowej żony najczęściej ma miejsce w czasie święta Umhlanga, zwanego Tańcem Trzcina, które odbywa się na przełomie sierpnia i września. To kolejny tradycyjny obrzęd, w którym dziewczyny paradują przed

PAŃSTWO TO JA

Dla swojego narodu Mswati III jest Królem Słońce. Do niego należy całkowita, niczym nieograniczona władza.

monarchą z odsłoniętymi piersiami. Przybywają z całego kraju ze świeżo ściętą trzcina, aby złożyć hołd Królowej Matce, a przy okazji zaprezentować swoje wdzięki. Każda z nich chce zostać żoną króla i każdej może się to udać.

Ana czeka na święto z niesłabnącą nadzieją. W domu żyje się trudno. Matka zajmuje się gospodarstwem, a ojciec jest sprzedawcą pamiątek. Codziennie rano rozkłada kramik przy szosie prowadzącej ze stolicy kraju do granicy z RPA. Ojciec wie o zauroczeniu dziewczyny i patrzy na nią ze smutkiem w oczach. Tylko ona została w chacie rodziców, odkąd Khosi, starsza siostra, zmarła na AIDS. Szalejąca epidemia tej choroby to obecnie największy problem Suazi. Średnia długość życia poddanych króla Lwa wynosi niewiele ponad trzydzieści lat. Jest najniższa na świecie i wciąż wykazuje tendencję spadkową. Kraj znajduje się na trzecim miejscu w świecie pod względem liczby zakażeń HIV. Nosicielami jest znaczna część dorosłej populacji mieszkańców. W kraju są tysiące sierot, których rodzice zmarli na AIDS.

Ana wie, że rodzice noszą w sercu żal do monarchy. Kilka lat temu zniósł zakaz uprawiania seksu przez nastolatki. Dopóki Khosi nosiła we włosach niebiesko-żółty sznureczek, symbol dziewictwa, była bezpieczna. Wódz wioski miał obowiązek dbać, aby nikt jej nie niepokoił. Chłopcy omijali dziewczyny ze sznureczkami szerokim łukiem, bo za złamanie zakazu groziła grzywna w wysokości jednej krowy, a to ogromna kara. Kiedy sznureczki spłonęły na stosie podpalonym przez Mswati III, nic nie chroniło już dziewic, a Khosi wkrótce zachorowała i umarła. Tutaj trudno jest się ustrzec przed tą



FOT. ATTLA JANS / INTERSTOCK

GARKUCHNIA

Turystyka to przyszłość tego uboższego kraju. Dla przyjezdnych są przygotowywane miejscowe potrawy, tradycyjnie gotowane nad ogniskiem.

straszną chorobą. W otoczeniu Any dziewczęta tracą już dziesięć latki, a wszechobecna poligamia także nie polepsza sprawy. Jeśli znowu nie będzie miała szczęścia w Tańcu Trzcina, jej perspektywy na dobre życie gwałtownie spadną. Tylko zostanie żoną króla daje szansę na wyrwanie się z zakłętą kręgiem biedy i chorób.

Każda królowa ma własny pałac i świątynię. Do jej obowiązków należą głównie zaspokajanie zachcianek panującego i udział w tradycyjnych ceremoniach. Monarcha dba o żony. Niedawno kilka z nich specjalnym samolotem wybrało się na zakupy do Dubaju. A jednak skandale nie omijają dworu. W ostatnich latach dwie żony uciekły, podobno z powodu znęcania się – emocjonalnego i fizycznego. Ana uważa, że to niemożliwe. Zapewne władca przyłapał je na zdradzie, tak jak niesławna królowa Dube, która zdradziła go z jednym z ministrów.

TANIEC TRZCIN

W oczekiwaniu na doroczne święto Ana każdej nocy śni swój sen o Kopciuszku. Udział w Tańcu Trzcina to zaszczyt, ale i obowiązek. Po dziewczyny przyjeżdżają samochody, aby zabrać je do Lomby, gdzie znajduje się siedziba króla. Niedawno zdarzył się wypadek. Otwarta ciężarówka, którą jechały uczestniczki uroczystości, zderzyła się z innym pojazdem. Niektóre wypadły z samochodu na ruchliwą szosę i wiele z nich zginęło. Jednak władca imprezy nie odwołał. Wręcz przeciwnie, mimo kryzysu, jaki głębi kraj, Umhlanga jest obchodzone z coraz większym rozmachem. Rytuał jest wykonywany przez władze, by choć



FOT. ELŻBIETA PIOTR-HAJDUK

ŻYCIE JAK W ZOO

W królewskich parkach Suazi nie brakuje dzikich zwierząt. Wiodą spokojne życie bez strachu przed myśliwymi. Są nawet rzadkie czarne nosorożce.

częściowo odciągnąć ludzi od problemów życia codziennego.

W drodze na święto Ana marzy, że tym razem na pewno zostanie *liphovela*, czyli królewską narzeczoną. Tego pragną też inne, towarzyszące jej dziewczyny. Lekki wiatr rozwiewa ich tradycyjne chusty. Na każdej widnieje podobizna monarchy. Porządku pilnują uzbrojeni w drewniane pałki opiekunowie.

Wkrótce docierają do wioski, gdzie odbędzie się impreza. Stąd udają się na odległe o kilkanaście kilometrów pola trzciny. Każda dziewczyna ścina długim nożem kilkanaście łodyg, wiązuje i przynosi do wioski, gdzie wkrótce odbędą się tańce. Te, które zrywały trzcinę nocą, mają prawo tańczyć z lampami. Ana tańczy w pierwszym rzędzie. Wiązki trzcin szeleszczą, zagłuszając bicie serca dziewczyny. W tłumie stojących wojowników zaczyna się jakiś ruch i w końcu... Jest! Ten jedyny, najważniejszy mężczyzna w kraju, przepasany skórą lamparta, z piórami we włosach, symbolem władzy. Ana patrzy jak zahipnotyzowana, ale spojrzenie króla zeslizguje się po niej i podąża gdzieś dalej. Nie widział jej!

Każdego roku tysiące dziewczyn tańczy z uśmiechem przed obliczem władcy. Lecz ich radość jest tymczasowa, a za śmiechem czai się lęk.

Już niedługo wiele z nich umrze, bo epidemia AIDS wciąż zbiera swoje straszne żniwo. Roztańczone młode kobiety doskonale zdają sobie z tego sprawę. ○



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista.
On inżynier, umysł ścisły.
Zjeździli razem pół globu.
On w podróżach szuka mocnych
wrażeń, ona – urody świata.
I każde znajduje to, co lubi.
Wspólnie z córką Kasią napisali
książkę o podróży po Afryce
„Dalej są tylko lwy”.



FOT. ELŻBIETA PIOTR-HAJDUK

A KUKU

Między drzewami zawsze można się schować oraz znaleźć upragniony cień.



JAWORZYNA KRYNICKA

GRUPA PKL

- licencjonowana szkoła narciarska Jaworzyna
- wypożyczalnia i centrum testowe nart
- przedszkole narciarskie



- 10 km tras narciarskich
- wygodna kolej gondolowa
- najdłuższy w Polsce snowpark

www.jaworzynakrynicka.pl

**KUP BILET
I SKIPASS
ONLINE**



WYSPA W CIENIU SMOKA

Anna Gryszkiewicz





FOT. ANNA GRYSZKIEWICZ

Tajwan, dla niektórych Republika Chińska, dla innych prowincja Chińskiej Republiki Ludowej, leży na zachodnim krańcu Pacyfiku, w sąsiedztwie Korei, Filipin, Japonii i Chin. Państwo, którego autonomii nie uznaje część świata, raz po raz zalewane obfitym monsunowym deszczem, nękanie groźnymi tajfunami i tropikalnymi burzami, stało się moim domem na dwa miesiące.

MAT W MAOKONG

Tajpej, wieczorne spotkanie w klubie miłośników szachów w dzielnicy Maokong.

Minął ponad tydzień, odkąd jestem na wyspie. Jest gorąco, 35°C w ciągu dnia, 29°C w nocy. Wilgotny, zwrotnikowy klimat sprawia, że ciało potrzebuje czasu, by przystosować się do nowych warunków. Choć od lipca do sierpnia temperatura wzrośnie jeszcze o kilka stopni, a gazety będą się rozpisywać o najgorętszym lecie od ponad dwunastu lat, zawroty głowy, nudności i senność mijają po pierwszych dwóch tygodniach pobytu.

CZY JESZCZE NIE UMARŁAM?

Mieszkam nad rzeką Danshui He, w dzielnicy Wenshan, w południowej części Tajpej.

Ze wszystkich miejsc, których człowiek dotąd nie zalał betonem, wyrasta soczysta, bujna zielen. Mieszkańcy stolicy budzą się późno. Nie biegną, ale suną w stronę metra, potem dalej, do swoich miejsc pracy. Czerwona herbata z mlekiem, jajko gotowane w aromatycznej słodkiej zupie, gorący batat czy ciepła bułka na parze z mięsnym farszem – to śniadanie spożywane w drodze lub przy wspólnym stoliku w jednym ze sklepów typu *convenience store*.

Rano miasto jest ciche, nikt nie ma ochoty na głośnie rozmowy, nie słychać też nawoływania z restauracji czy kawiarni. Wszystko powoli budzi się do życia, zupełnie tak, jakby cała energia mieszkańców skupiała się wokół wysiłku zdyscyplinowania ciała i umysłu, by

mogły poradzić sobie z żarem lejącym się z nieba. Chociaż wieczorem ulice przemieniają się w potok ciemnowłosych szczupłych ludzi, również wtedy prywatne przestrzenie rzadko kiedy się krzyżują.

Dzielnica, w której mieszkam, znajduje się zaledwie cztery przystanki metrem od bogatego centrum z wysokimi szklanymi domami, wśród których najwyższy to duma miasta, drapacz chmur Taipei 101. To architektoniczna fuzja tradycyjnego chińskiego budownictwa i sztuki projektowania feng shui z kapitalistycznymi ambicjami tajwańskiego rządu, które za sprawą architekta Li Zuyuana przybrały formę wysokiej na sto jeden pięter postmodernistycznej bryły z najszybszymi windami świata. Patrząc na Taipei 101, samotny wieżowiec wyrastający z niskiej zabudowy miasta, i zastanawiam się, ile miesięcy zajmuje ekipie wysokościowej umycie tych szklanych ścian.

Gdy wracam do Wenshan, codziennie mijam przynajmniej kilka znajomych twarzy. Jest rodzina, która sprzedaje gotowane w wielkich wiklinowych koszach bułeczki *baozi* z kapustą. Jest sprzedawca kasków motocyklowych o przeróżnych wzorach, chuda jak szkap kwaciarka, rencista, który otworzył wypożyczalnię mangi, fryzjerka, która dość niedokładnie podcięła mi włosy.

Codziennie o 20.50 na osiedlu rozbrzmiewa wesoła melodia. Brzmi znajomo, przypomina tę, którą kilkanaście lat temu, w Łodzi, puszczał przez megafon sprzedawca lodów podjeżdżający raz w tygodniu w okolice kościoła. Przyciągnięta wspomnieniem z dzieciństwa, wychodzę na ulicę. Obok sklepu gromadzi się około dwudziestu osób. Każdy trzyma kilka worków ze śmieciami, wszystkie starannie posegregowane. Osobno plastik, papier, kompost i cała reszta. Mieszkańcy Tajwanu spędzają mnóstwo czasu na segregacji odpadów. Na ulicach jest czysto, ale nie ma koszy na śmieci. Kubek po wypitym soku wraca z właścicielem do domu. Śmieci nie są niczyje, śmieci mają nazwiska i adresy, a od każdego worka płaci się podatki.

Kobiety i mężczyźni są ładnie ubrani. Lubią pić kawę i długo ją parzyć. Jednak w gorące południe najlepiej smakuje czerwona herbata z mlekiem i tapioką. Na ulicach kramy z napojami kuszą najróżniejszymi egzotycznymi



mieszankami dla spragnionych. Jest owoc pasji z lodem i brązowym cukrem, jest mleko sojowe z czarną fasolą i miodem, jest w końcu japońska *matcha* o gorzkim smaku i ciemnozielonym kolorze, ze śliwką i tutejszymi ziołami.

Do poruszania się po mieście służy jedna karta, taksówki są tanie, a w odległości pół kilometra można znaleźć parking z rowerami użytku publicznego. Na poczcie można otworzyć konto bankowe. Cztery pary okularów o różnym stopniu korekcji, przykute łańcuchem do stołu, leżą obok formularzy. Druk jest drobny, więc trzeba czytać uważnie.

PROŚCIEJ W TAJPEJ

Stacja metra niedaleko placu Pamięci Czang Kai-Szeka w Tajpej. Korzystanie z komunikacji miejskiej ułatwia jedna karta, taksówki są tanie, jest też dużo rowerów do użytku publicznego.



W razie wątpliwości starsza elegancka pani w informacji, zaraz po głośnym odbknięciu, wszystko z uśmiechem wyjaśni.

Z nowo wyrobioną kartą bankową idę do restauracji. Siadam przy stoliku z ramenem,

a znajomi Tajwańczycy pytają, czy jeszcze nie umarłam. To tradycyjne południowe przywitanie, po którym zwykle rozbrzmiewa głośny, przyjazny śmiech. Patrzę na spocone twarze przyjaciół i ich przylepione do ciała ubrania. Odpowiadam, że żyję i mam się dobrze.

RYTM POŁUDNIOWCA

Po trzech tygodniach w Tajpej powoli zaczynam rozumieć, czym jest życie południowca. Ważny jest rytm. Dzień spędzam w domu, na uczelni lub w restauracji ze śniadaniem. Podobnie jak inni przemykam wąskimi ulicami, zawsze pod ścianą, okryta jej cieniem lub cieniem wysokich na kilka pięter oleandrów i bambusów. Przechodzę z domu do kawiarni, z kawiarni do sklepu, ze sklepu do drogerii, a potem oglądam buty. Udam, że chcę coś kupić, żeby na moment wejść do klimatyzowanego pomieszczenia.

Okolo trzynastej Tajpej zasypia. Srebrne rolety spuszczone z hukiem na ziemię zasłaniają warsztaty samochodowe i ich gołobrzuchych właścicieli. Promienie słońca odbijają się od stalowych elementów zabudowań i świecą mi prosto w oczy. Ulice są opustoszałe, wszystko dzieje się powoli. Gorące, wilgotne powietrze przylepia się do płuc i nie ma czym oddychać, zupełnie jakby jakiś spocony olbrzym stał nad miastem i sapał nad głowami mieszkańców.

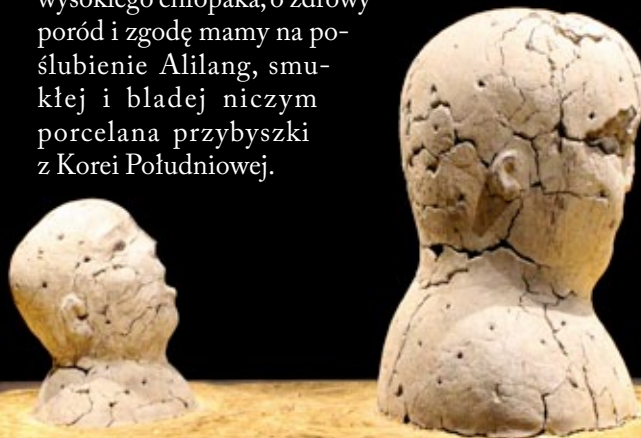
Pod wieczór robi się gwarno. W małych przydomowych świątyniach najedzone posążki bożków podświetlone na różowo wysłuchują prośb o bogatego, wysokiego chłopaka, o zdrowy poród i zgodę mamy na poślubienie Alilang, smukłej i bladej niczym porcelana przybyszki z Korei Południowej.

SZTUKA PANA LI

Wystawa rzeźbiarza Li Zhena w Centrum Sztuki Współczesnej MOCA w Tajpej. Jedna z kamiennych rzeźb Pool of Luxury.

Na zdjęciu obok: ustawione horyzontalnie buddyjska pagoda i współczesny drapacz chmur.

FOT. ANNA GRYSZKIEWICZ



FOT. ANNA GRYSZKIEWICZ

Na skrzyżowaniu ulic w dzielnicy Maokong, niedaleko upraw herbaty, jest klub miłośników gry w szachy. Ciągłe walczę ze sobą, aby w końcu wejść i spróbować swoich sił, jednak onieśmiela mnie doświadczenie starszych ode mnie o kilka dekad graczy.

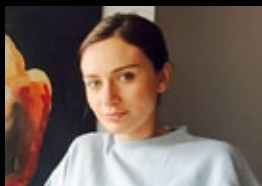
Na placu Pamięci Czang Kaj-szeka raz do roku zbierają się tłumy, by obejrzyć najnowszy spektakl teatru tańca Yun Men. Dziś tancerze



grają za darmo. Przyszła rodzina z dziećmi. Z plecaków wyjmują kilka pudełek z jedzeniem. Zapach smażonego boczku unosi się nad trojgiem schludnie ubranego rodzeństwa o ciemnej skórze, niezwykle długich rękach i lśniących, pięknych włosach. Najmłodsza córka śpi na kolanach taty. Nie można robić zdjęć, nikt nie rozmawia. Wszyscy oglądamy, czasem nie wiemy co, ale wciąż ten świat nas interesuje.

W Muzeum Sztuki Współczesnej jest wystawa rzeźb Li Zhena. Przed wejściem gruba stalowa „chmura-słoń” o dwudziestu ludzkich twarzach liczy zwiedzających. W pierwszym pokoju stoi masywna, dwa razy

większa ode mnie kamienna postać buddyjskiej strażniczki Mahakali z wylewającym się poza podstawę rzeźby maminym brzuchem. Patrzą na ciężkie, toporne postacie wykute w białym kamieniu i mam nieodparte wrażenie, że Li Zhen był kiedyś moim bliskim krewnym i stąd nasze spojrzenia na niektóre sprawy są bardzo podobne. Wystaw takich jak ta jest w Tajpej mnóstwo. Lato, jak w każdej większej stolicy, obfituje w propozycje kulturalne i rozrywkowe. Kluby z muzyką na żywo, festiwale filmowe, wystawy fotografii, pokazy teatrów tańca – to wszystko sprawia, że wokół Tajpej skupia się życie kulturalne i rozrywkowe Tajwanu.



Anna Gryszkiewicz

Teatrolog i sinolog, obecnie lektor języka chińskiego na Uniwersytecie Gdańskim. Zafascynowana kulturą Azji Wschodniej, szczególnie rytuałami tajwańskich aborygenów. Na co dzień mama Helenki.

STUKROKOWY WĄŻ

Wschodnie wybrzeże wyspy pokrywają masywne góry. Z okna pociągu na trasie Tajpei – Yuli widać ich łagodny grzbiet. Rano, gdy robi się najgoręcej, zieleń paruje, a niebo nad górami zaczyna falować. Grań przypomina grzbiet wielkiego legwana, który rozłożył potężne ciało wzdłuż wyspy, by chronić ją przed tajfunami i oceanem.

Yuli leży między dwoma pasmami gór. Łączą je wyschnięte prawie w całości rozlewiska rzek lub sztucznie nawadniane pola ryżowe. Wiejska architektura jest prosta i pod każdym względem daje pierwszeństwo naturze. Niskie białe domy, których ściany utrzymują przyjemny chłód, mają kamienne posadzki i rozsuwane drewniane drzwi. Przez wąską szparę widać chudą sylwetkę właściciela domu, który przysnął, by wieczorem mieć siłę świętować.

Miejscowa ludność to w dużej części tajwańscy aborygeni lub ich potomkowie

z mieszanych małżeństw. Mają ciemną skórę, szerokie barki, a zęby zabarwione betelem. Raz do roku zakładają ciężkie, wielokolorowe stroje, kobiety upinają wysoko włosy i zdobią je ptasimi piórami, a mężczyźni, na pół nadszy, wkładają wysokie sznurowane buty. W świąteczny dzień ludność aborygeńska gromadzi się na miejskim placu, wspólnie śpiewa i tańczy oraz pije pędzony domowymi metodami niskoprocentowy alkohol z prosa. Jest cierpki i trudno się go przełyka, a później w gardle pozostaje nieprzyjemny osad. Po jednej butelce zaczynam tańczyć i choć ruchy starszej ciotki, która tańczy obok, są dużo zgrabniejsze, ciężkie brzmienie bębnów i głośno wyklaskiwany rytm powodują, że mimo woli wciągam się w kilkugodzinny rytuał wspólnego świętowania.

Rano właściciel domu, w którym mieszkam, proponuje, że podwiezie mnie pod wodospad, gdzie rdzenna ludność lubi się kąpać. Chociaż z okna samochodu zieleń

TAŃCE PO PROSIE

Festiwal aborygenów tajwańskich w Yuli, prowincja Hualian. Świętuje się obfite zbiorcy, tańcząc i pijąc alkohol z prosa.



pokrywająca góry wydaje się łagodna, wąskie kamienne podejścia i wielkie jak ze snu owady, które po zmroku zaczynają głośno rozmawiać, budzą moją czujność. Wysoki na 40, może 50 m wodospad uderza głośno o taflę wody. Kilku wytatuowanych od pasa w górę mężczyzn popisuje się przed grupą młodych Tajwanek, które nie chcą zamoczyć ubrań i brodzą tuż przy brzegu. Jeden z nich skacze z wysokiego kamienia, a wszyscy wstrzymują na moment oddech.

To jeden z przywódców tutejszej szajki młodych aborygenów z plemienia Bunun. Z uwagą słucham, jak chwali się siedzącemu obok nowo zapoznanemu mężczyźnie znajomością tutejszych lasów, dzieciństwem obfitującym w takie rytuały, jak codzienne kąpiele w wodospadzie. Aż wreszcie mrozącą krew w żyłach opowieścią o dziadku, który zginął podczas jednej z takich kąpielei, ugryziony przez grzechotnika. Zgodnie z legendą ofiara po ugryzieniu przez „stukrokowego węża” (*baibushe*) nie jest w stanie przejść więcej niż sto kroków, gdyż w tym czasie trucizna zabija. Usłyszana opowieść budzi moją czujność, ale uspokajam się, gdy spojrzenie mężczyzny łagodnieje, a na jego twarzy pojawia się uśmiech z wyszczerzonymi, zabarwionymi na czerwono zębami.

Po chwili piękna dziewczyna w ciąży wdrapuje się po skałach i z groźną miną napomina męża, że czas kończyć opowieści i zabawy w wodzie. Cała piątka zwinnie schodzi na dół, wsiada do białego vana i odjeżdża. Siedzę na dużym, rozgrzanym kamieniu i patrzę na mieniący się w słońcu wodospad. Zamykam oczy i przez moment mam wątpliwości, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Po powrocie do miasta sprawdzam legendę o *baibushe*, stukrokowym wężu, z którego uczyniono totem, do którego modlono się o zdrowie dzieci i którego przy okazji świąt przekupywano zabita zwierzyzną. Wracam pamięcią do wytatuowanego mężczyzny, do sympatycznej, choć nieprofesjonalnej fryzjerki, do sprzedawcy ramenu, do pracowników biblioteki, ekspedientki w Seven Eleven, do przyjaciół, których poznałam na miejscu. Sprawdzam godzinę odlotu do Polski, a do walizki wkładam książkę o rdzennej ludności Tajwanu i pudełko najlepszej herbaty *wulong*, jaką piłam. ○

PIKACHU NA RYNKU

Sprzedawca balonów na jednym z najbardziej znanych nocnych rynków w mieście portowym Keelung na północy Tajwanu.



FOT. ANNA GRYSZKIEWICZ



PODRÓŻNOŚCI
Magdalena Żelazowska

FABRYKA SNÓW



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

„Ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic. To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę”.

Wczasach, kiedy nie spotyka się już wielkich karier, a samochody służbowe mają chyba tylko taksówkarze, tęsknie spoglądamy w przeszłość. Jadąc zatłoczonym tramwajem do nudnej i kiepsko płatnej pracy, oddajemy się ponurym rozmyślaniom. Złorzeczmy pod nosem: wszystko już było, a w każdej dziedzinie szaleje konkurencja. Żałujemy, że nie urodziliśmy się wcześniej. Dawniej można jeszcze było być pierwszym, osiągnąć coś wielkiego. I wcale nie trzeba było jechać po to do Ameryki.

Oto mała lekcja patriotyzmu. Wszyscy, którzy narzekają, że w Polsce zawsze było biednie, dlatego cierpimy na architektoniczny chaos, powinni wybrać się

w okolice Łodzi. Przekonaliby się po pierwsze, że nasze miasta mają jednak swój motyw przewodni, po drugie, że wcale tacy biedni nie byliśmy. Cytat z „Ziemi obiecanej” Władysława Reymonta, który rozpoczyna ten felieton, to najlepsze podsumowanie historii od pucybuta do milionera, których w Łodzi i okolicach zdarzyło wiele. Chodzi oczywiście o epokę XIX-wiecznej rewolucji przemysłowej, w czasie której powstały tutaj dziesiątki fabryk włókienniczych – znaków rozpoznawczych okolicy. Charakterystyczne gmachy i kominy wznoszono z pięknej czerwonej cegły, która bije na głowę bezbarwne pustaki. Obok fabrykanckich imperiów wyrastały stylowe wille i pałace ich dyrektorów. Klekot krosien i wrzecion

przypominał brzęk monet napelniających kasę kupców i właścicieli fabryk. Ciężka praca prowadziła do wielkich fortun, choć nie należały one do tych, którzy pracowali najciężej, czyli robotników. Nie wdając się w moralne dylematy, były to czasy naszej narodowej świetności.

Powiecie, że to zamknięty rozdział? Niekoniecznie. Z radością obserwuję, że zniszczone, zarosnięte i odwiedzane już chyba tylko przez gołębie stare fabryki coraz częściej trafiają w dobre ręce. Przybywa śmiałków, którzy porywają się na kosztowny i ryzykowny projekt rewitalizacji obiektów poprzemysłowych. Uzbrajają się w cierpliwość, a potem w narzędzia. Wyrывают chaszcze, wywożą gruz, w miejsce ziejących pustką powybijanych okien wstawiają nowe szyby, a szerniałej cegle przywracają dawną energetyczną czerwień. Szczególnie cenię tych, którzy nie przekształcają fabryk w prywatne lofty, ale otwierają je dla wszystkich.

Czy może być większa gratka dla miłośniczki starych fabryk niż noc spędzona w jednej z nich? Ostatnio spełniłam

to marzenie. W tym celu pojechałam do Pabianic, choć wcześniej nie przyszłoby mi to do głowy. Dowiedziałam się jednak, że znajduje się tam zespół budynków należący niegdyś do fabrykanckiej rodziny Baruchów, która od 1862 r. zajmowała się produkcją tkanin. Zbudowany w latach 70. XIX w. kompleks zaliczał się do największych i najnowocześniejszych zakładów w regionie. Kiedyś to miejsce było symbolem ciężkiej pracy, dziś można tu bardzo wygodnie odpocząć. Zaniebdany obiekt odnowiono i zamieniono w hotel Fabryka Wełny. Łatwo go rozpoznać na tle monochromatycznej, szarej zabudowy Pabianic. Choć jadę bez mapy, duży budynek z czerwonej cegły z daleka przyciąga wzrok.

Ulica Lipowa, dzisiejsza promenada przy hotelu, wystąpiła nawet w ekranizacji wspomnianej już „Ziemi obiecanej” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak po bruku przemyskują zgarbieni ciężką pracą robotnicy, stukają obcasy dyrektora i jego żony, skrzypią koła wozu z belami materiału. Za budynkiem hotelu płynie wąska rzeczka Dobrzyńka, jej wody musiały kiedyś schładzać pracujące na pełnych obrotach maszyny. Różne części Fabryki Wełny pomagają mi przenieść się do włókienniczej przeszłości: są tutaj restauracje Wzorcownia i Przędzalnia, kręgielnia Maszynownia, a nawet SPA Tkalnia (dzięki śledzeniu historii fabryki mam dziś większą świadomość, jak powstają bawełniane płatki kosmetyczne).

Trafia mi się duży narożny pokój z widokiem na staw. To reprezentacyjne pomieszczenie, może kiedyś mieścił się tu pokój samego dyrektora, w którym przyjmował kupców i dobijał korzystnych targów? W nowoczesnych wnętrzach hotelu natykam się na dawne akcenty, jak stara maszyna do szycia, ceglane ściany i oryginalne metalowe elementy. Z tarasu na ostatnim poziomie rozciąga się widok na miasto. Zauważyłam, że w sąsiednim, zniszczonym fabrycznym budynku pojawiły się nowe okna. Czyli będzie się działo. Fabryka Wełny to przedsięwzięcie lokalne – polski inwestor, projekt polskiego architekta, wystrój polskiej firmy, kosmetyki produkowane w Pabianicach. I powrót do polskich korzeni. Dzięki niemu do niedużego i trochę zapomnianego miasta trafia dziś wielu gości, także z zagranicy. Jak za dawnych lat, kiedy

w czasach Królestwa Polskiego za sprawą ulg celnych i podatkowych przybywali tu interesanci z Czech, Śląska i Saksonii.

Rewolucja przemysłowa jest mi bliska z osobistych względów – zawdzięczam jej powstanie mojego miasta. Tomaszów Mazowiecki aż do lat 90. XX w. żył głównie dzięki fabrykom tekstyliów, włókien i dywanów. Wraz z ich upadkiem coś się na zawsze zmieniło. Mam wrażenie, że do dziś miasto nie poradziło sobie z tym ciosem. Chociaż pojawiła się jaskółka nadziei. Na terenie dawnej fabryki Mazovia powstała nowa galeria. Mimo że nie jestem miłośniczką centrów handlowych, tam bywam akurat z przyjemnością. Nie, nie patrzę na sklepowe witryny. Wznoszę

wzrok wyżej, na stary komin. Przy sąsiedniej ulicy stoi kilka ślicznych, choć zaniebdanych pałacyków fabrykanckich. Kiedy byłam dzieckiem, lubiłam wspinać się na zardzewiałe ogrodzenia i wypatrywać ich kształtów ukrytych w zaroślach. Liczę na to, że renowacyjna fala dotrze i do nich. W końcu już dawno sobie obiecałam, że kiedyś któryś będzie mój. ☺

Magdalena Żelazowska

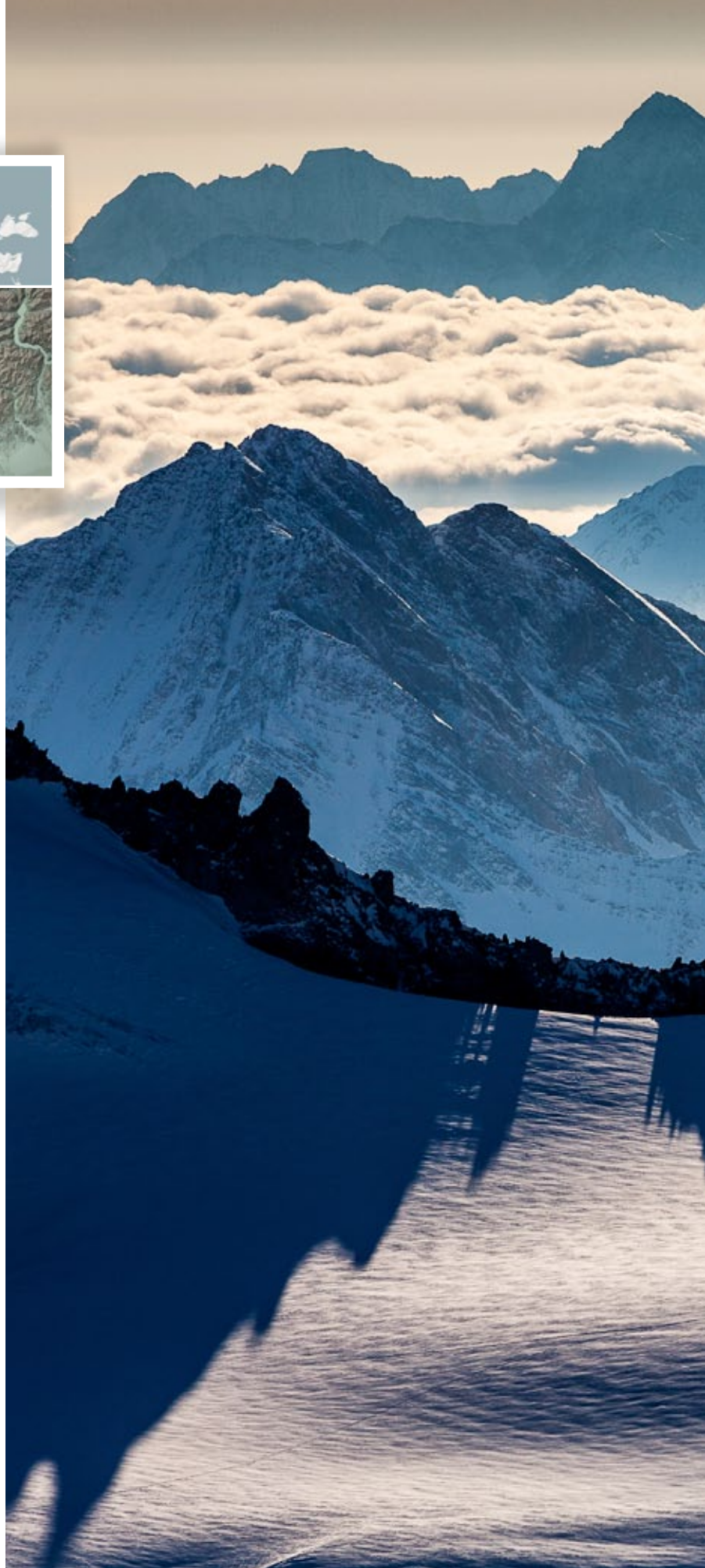
Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A



Kiedy spojrzysz z góry na dolinę, w której leży Chamonix-Mont-Blanc, można poczuć niezwykłą potęgę gór. Od wieków ten alpejski zakątek przyciąga żądnych wrażeń turystów, wspinaczy oraz narciarzy. Od czasów I Zimowych Igrzysk Olimpijskich w 1924 r. uznaje się region za raj dla miłośników białego szaleństwa. Jednak głównym wabikiem na turystów jest potężny Mont Blanc. Na czym polega fenomen tego miejsca?

Zlotniska w pobliskiej Genewie można szybko dostać się do Chamonix, ale polecam krótką wycieczkę widokową dookoła Jeziora Genewskiego. Zimą jest to uczta dla oczu i duszy – widoki zapierają dech. Droga prawie cały czas biegnie przy samym brzegu. Połączenie pokrytych śniegiem szczytów i wody jest niesamowite. W pobliżu jest wiele ciekawych miejsc – warto zobaczyć szczególnie zamek Chillon.



Mikołaj Gospodarek

POD DACHEM EUROPY





Wystawy czasowe i stałe prezentują kawałek historii regionu. Spacer wzdłuż jeziora do Villeneuve przekonana każdego o uroku tej okolicy. Z portu widać rosnące na wodzie drzewo... Naprawdę rajskie widoki!



IGLICA DO ZDOBYCIA

Widoki z tarasu na szczycie Aiguille du Midi (Południowej Iglicy) może podziwiać każdy – na górę wjeżdża kolej linowa. Trudniejsze jest strome zejście do lodowca (na zdjęciu obok).

NA POŁUDNIOWEJ IGLICY

Jadę koleją do Martigny i docieram do początku trasy Mont Blanc Express. Sam przejazd tym pociągiem jest wart podróży w to miejsce. Po drodze można zaplanować dłuższy przystanek i wjazd na Les Montuires. To przykład ludzkiej pomysłowości, która zdaje się nie mieć granic. Na początku jedzie się wagonikiem, potem trzeba się przesiąść do pociągu, a ostatni etap podróży odbyć w małej kabinie. Ze szczytu widać Mont Blanc, a ścieżkami widokowymi dotrzemy na brzeg jednego z największych zbiorników retencyjnych w Szwajcarii, Émosson. Zimą niestety ta kolejka jest nieczynna, ale od wiosny do jesieni trzeba nią obowiązkowo pojechać.

Docieram do Vallorcine, gdzie rozpoczyna się przygoda z Chamonix-Mont-Blanc. Od tej pory cały czas będą mi towarzyszyć potężne ściany maszywów otulających dolinę. Po dotarciu do celu można odnieść dość dziwne wrażenie – miasto Chamonix nie zachwyca tak, jak szwajcarskie Zermatt czy włoskie Falcade. Dobrze jednak, że dość łatwo i szybko da się przenieść stąd do górskiego świata.

3842 m n.p.m. – tyle dokładnie liczy szczyt Aiguille du Midi, z którego roztacza się jedna z najwspanialszych alpejskich panoram. Wjazd rozpoczyna się w zupełnie niepozornym budynku w mieście. Po 20 minutach jestem prawie 2800 m wyżej. Na stacji przesiadkowej mam wrażenie, że to niemal niemożliwe – wisząca lina bez podpór łączy dwie

stacje. Marzenia o wybudowaniu kolei na szczyt Południowej Iglicy zaprzętały głowy inżynierów przez niemal 50 lat. Dopiero w 1955 r. otwarto działającą do dzisiaj kolejkę. Od tamtej pory jest to jedna z najliczniej odwiedzanych atrakcji w regionie. Po modernizacjach pozwala przez prawie cały rok każdemu stanąć na wysokości niemal 4000 m n.p.m.

Krótki czas, w którym pokonujemy znaczną różnicę wysokości, sprawia, że wiele osób boryka się na szczycie z zawrotami głowy i błyskawicznym spadkiem kondycji. Kiedy pierwszy raz wjechałem na górę zimą, pokonanie kilkunastu schodów na taras widokowy zajęło mi sporo czasu, a u celu czułem się jak po wejściu na Giewont.

Przyklejona do skał stacja kolejki oferuje niezwykle widoki. Smak kawy na tej wysokości z taką panoramą to coś niesamowitego. Koniecznie trzeba też wjechać windą kolejne 40 m do góry na taras widokowy, skąd rozpościera się wspaniały widok na Mont Blanc. Z rana spotkamy całe rzesze wspinaczy i obwieszonych sprzętem narciarzy.

NAJDŁUŻSZY JĘZOR FRANCJI

Ze względu na liczbę wypadków region Chamonix jest uważany za jeden z najbardziej niebezpiecznych w Alpach – to pewnie jeszcze bardziej przyciąga miłośników adrenaliny i ekstremalnych przeżyć. Chyba właśnie tutaj, wśród skalnych iglic dookoła, można uświadomić sobie, jak niedostępne i jednocześnie piękne potrafią być góry. Z tarasów widokowych na Aiguille du Midi wprawne oko dostrzeże na horyzoncie Matterhorn i sporą część alpejskich ikon. Z tej wysokości doskonale widać, jak zmienia się natura wraz z wysokością – od rozległych łąk po skalne wieże, z których słynie ten region. Zimą przykryta śniegiem ziemia stwarza wrażenie białych dywanów rozłożonych dookoła.

Do Chamonix mogą przyjechać nie tylko miłośnicy sportów ekstremalnych. Po drugiej stronie doliny rozpościera się dużo łagodniejszy masz z znanym punktem widokowym Le Brévent. To stąd widać w całej okazałości Mont Blanc i lodowiec Bossons. Choć sam szczyt jest niewiele wyższy od Rysów, bo mierzy 2525 m n.p.m., to oferuje niezwykle urokliwe panoramy.

MOTYW NA PUZZLE

Chamonix z góry przypomina miasta z gier komputerowych. Z tego zdjęcia można by zrobić ciekawą wieloelementową układankę.





SZCZELINY W KASKADZIE

Glacier des Bossons schodzi ze szczytu Mont Blanc. Ten lodowiec ma największe w Europie zamrożone kaskady. Z bliska tworzą niezwykle świat labiryntów i szczelin.



Na górę kursuje kolejka z jedną przesiadką. Zimą królują tu oczywiście narciarze, którzy pośród tych górskich cudów mogą zjechać aż do granic Chamonix. Latem spacerowałem piękną trasą widokową do górskiego jeziora Lac du Brévent. Oczywiście



POKAŻ ROGI

Koziorożec alpejski to doskonały wspinacz, któremu niestraszne są strome i niemal niedostępne zbocza gór.

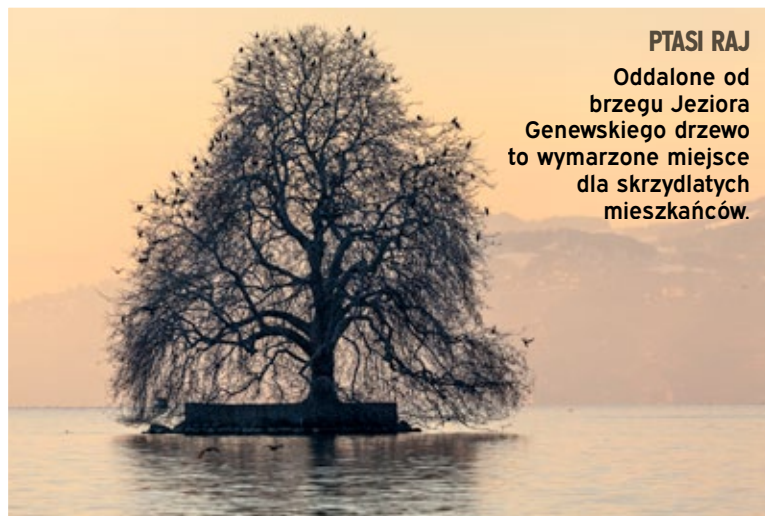
Le Brévent to tylko jeden z ośrodków narciarskich w okolicy – w dolinie co rusz można znaleźć kolejki górskie i stoki. Do najbardziej popularnych należą okolice Argentière i Vallorcine, ale w promieniu 30 km jest wiele ciekawych wyciągów i tras narciarskich o różnym stopniu trudności.

Na tych, którym spektakularnych widoków nigdy za wiele, czeka trochę wrażeń w drodze do jeziora lodowca Mer de Glace. Po 20 minutach podróży zębatką można stanąć nad najdłuższym lodowcem we Francji, który liczy prawie 7 km. Trasa prowadzi przez piękne alpejskie lasy – warto usiąść blisko okna! Na miejscu, poza cudowną panoramą na lodowiec, czeka kilka atrakcji: wystawa poświęcona lodowcom, obiad w Grand Hôtel du Montanvers, wybudowanym w 1880 r., czy grota lodowa, do której jedzie się kolejką, a potem pokonuje 400 schodów w dół aż do samego lodowca.

DROGA W SKALE

Do atrakcji, które dostarczają przeżyć, a nie widoków, należy przejazd tunelem pod Mont Blanc i odwiedziny w pięknej włoskiej miejscowości Courmayeur. Tunel, położony 760 km od Rzymu i 610 km od Paryża, od 1965 r. ułatwia podróż

z południa na północ. Tylko w 2016 r. skorzystało z tej możliwości ponad 1,8 mln kierowców. Liczący prawie 12 km tunel przebiega dokładnie pod szczytem Aiguille du Midi, co oznacza, że znajduje



PTASI RAJ

Oddalone od brzegu Jeziora Genewskiego drzewo to wymarzone miejsce dla skrzydlatych mieszkańców.

się nad nim około 2500 m litej skały. Ten przejazd dostarcza niezwykłych emocji, a niekiedy można doświadczyć wrażenia dwóch światów – po jednej stronie słońce, a po drugiej chmury i niemal egipskie ciemności.

Zima w Chamonix-Mount-Blanc należy do jednej z najpiękniejszych i najzimniejszych, jakie miałem okazje zobaczyć w Alpach. Czasem infrastruktura odbiera urok naturze, ale dzięki niej można odkrywać niemal bez wysiłku cudowne alpejskie panoramy.

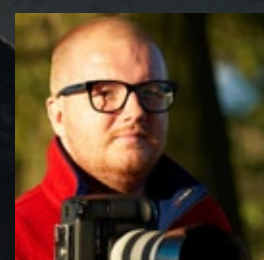
Podczas pobytu łatwo da się połączyć aktywny wypoczynek z pewną dozą lenistwa. Wisienką na torcie jest francuska kuchnia, a ogromna liczba bardzo dobrych restauracji w całej okolicy pozwala na rozkoszowanie się różnymi smakami. Kuchnia bywa tutaj po francusku nieco szalona, ale ma w sobie również delikatną nutę włoską.

Choć śnieg i lód uniemożliwiają wiele górskich wędrówek, to do Chamonix warto przyjechać zimą bez nart i po prostu odpocząć, delektować się wyjątkowymi i niespotykanymi widokami. Trudno znaleźć w Alpach drugie miejsce, gdzie góry są tak niedostępne, a zarazem pozwalają podziwiać swoje piękno dzięki fantazji ludzi, którzy wybudowali kolejki wiodące na szczyty, aby każdy mógł odkrywać tę alpejską krainę. ◯



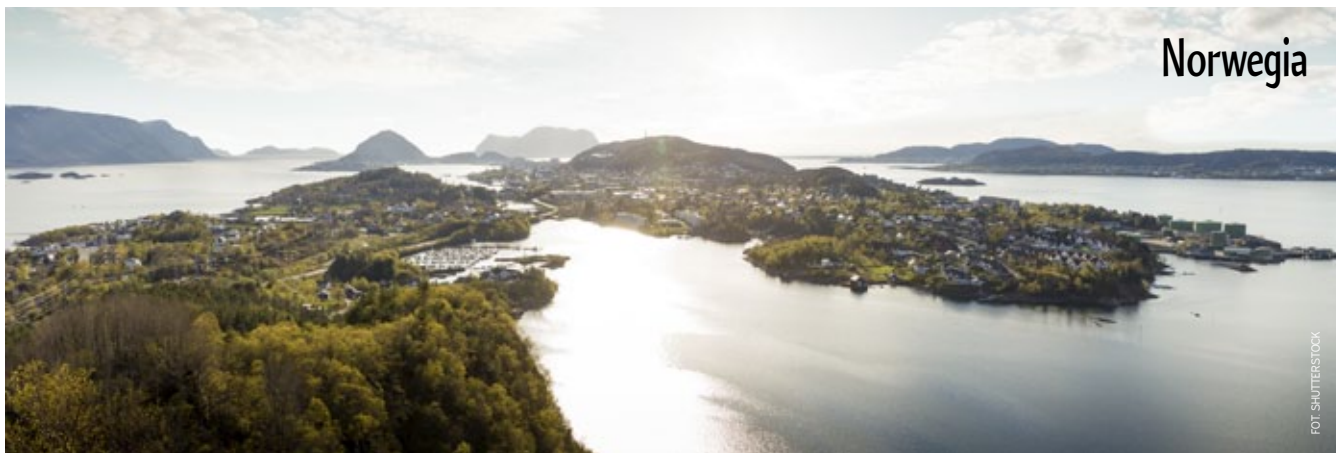
MORZE GÓR

Z prawie 4000 m n.p.m. można podziwiać niezwykłą panoramę. Ponad chmury wystają szczyty Grand Golliat, Aiguille des Angroniettes, a bliżej Aiguille du Plan, Aiguille Verte i Aiguille du Dru.



Mikołaj Gospodarek

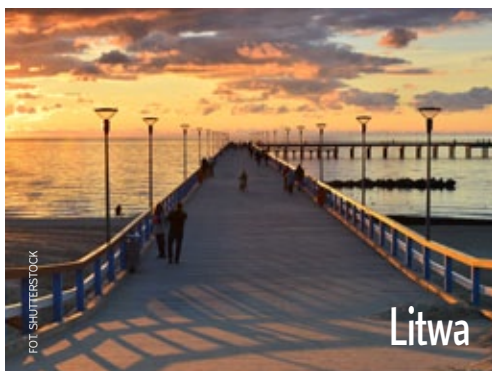
Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady





FERIE W BESKIDZIE

Park Krajobrazowy Beskidu Śląskiego obejmuje głównie tereny leśne z całym bogactwem flory i fauny. Najcenniejsze fragmenty drzewostanów są objęte ochroną rezerwatową. Powierzchnia parku wraz z otuliną wynosi aż 60 905 ha.

Dobrym miejscem wypadowym na zwiedzenie parku jest Osada Jaworówka – Stara Wiejska Chatka w Brennej. Po niespełna 2 godzinach można stąd dotrzeć do schroniska na Błatniej. Jaworówka oferuje pobyt w ekskluzywnym góralskim domu z duszą. Ma on 4 pokoje sypialne dla około 13 osób, kuchnię z jadalnią, 3 łazienki i pokój



49°43'N 18°56'E

Brenna leży około 15 km na wschód od Ustronia.



Włochy Trydent

nowoczesne, szybkie i bezpieczne wyciągi oraz miejscowości górskie z długimi tradycjami w sportach zimowych.

Na amatorów nart klasycznych i zimowych spacerów czekają liczne trasy biegowe, urozmaicone szlaki turystyczne, przytulne górskie chaty i schroniska, w których można odpocząć i spróbować regionalnych specjalów oraz podziwiać zapierające dech widoki. Jeśli dodać do tego słoneczny klimat, typowo włoski koloryt miasteczek oraz kuszącą bogactwem aromatów kuchnię i wyborne wina, otrzymamy zestaw składników idealny do spędzenia zimowego urlopu marzeń.



46°00'N 11°00'E

Trydent jest jedną ze 110 prowincji we Włoszech. Leży w północnej części kraju.



Trentino zimą

Do dwóch wielkich regionów narciarskich należą setki kilometrów słonecznych tras – na zachodzie to Skirama Adamello Brenta, a na wschodzie Dolomiti Superski. Zbiegają się one na terenie prowincji. Na obraz zimowej krainy składają się świetnie przygotowane trasy zjazdowe,



To drugie pod względem liczby mieszkańców miasto Bułgarii znajduje się w środkowej części kraju. Należy do najstarszych ośrodków w tym regionie – archeolodzy dowiedli, że Płowdiw był zamieszkały już 1000 lat p.n.e. Do dziś można tu podziwiać zabytki z dawnych czasów, m.in. wciąż czynny teatr rzymski, który należy do najlepiej zachowanych starożytnych teatrów w Europie. Zbudowany w I w. n.e., może pomieścić od 5 do 7 tys. widzów. W 2019 r. Płowdiw będzie Europejską Stolicą Kultury.



42°09'N 24°45'E

10 km na południowy wschód od Płowdiwu znajduje się międzynarodowe lotnisko. Podróż do centrum miasta zajmuje około 15 minut.



FOT. SHUTTERSTOCK

Norwegia Ålesund



62°28'N 06°11'E

Do Ålesund można dolecieć z Polski tanimi liniami lotniczymi.

FOT. SHUTTERSTOCK

Poza popularnymi Bergen, Oslo czy Stavanger warto wybrać się bardziej na północ Norwegii. W pobliżu 100-kilometrowego fiordu Storfjorden wznoszą się zabudowania 50-tysięcznego Ålesund. Miasto szczyci się m.in. licznymi, wspaniałymi przykładami architektury secesyjnej. W styczniu 1904 r. praktycznie całe spłonęło. Odbudowano je starannie, z dbałością o zachowanie różnorodnych stylów budynków. Ålesund prezentuje się szczególnie pięknie oglądane ze szczytu wzgórza Aksla (189 m n.p.m.) o wschodzie lub zachodzie słońca.

Czarnogóra Kotor

Boka Kotorska, przypominająca wyglądem fiordy Norwegii, uchodzi za jedno z najpiękniejszych miejsc w Europie. Zatoką rozciąga się na długości 30 km. Można tu zobaczyć siedem wysp, a cały obszar jest wpisany na listę UNESCO. Wzdłuż linii brzegowej znajdują się miasteczka otoczone murami obronnymi. Za największą perłę tego zakątka jest uważany Kotor. To niezwykle dobrze zachowane średniowieczne miasto leży na samym końcu Boki Kotorskiej, u podnóża masywu Lovcen. Jego historia sięga IX w. Podczas spaceru wąskimi uliczkami zobaczymy kilkunastowieczne kościoły i urokliwe place. Mury obronne miasta mają 4,5 km długości, 20 m wysokości i prowadzą do twierdzy św. Jana. Na uwagę zasługują tutejsza zabudowa mieszkalna z XIV-XVII w., gotyckie pałace i bramy miejskie.



42°25'N 18°46'E

Z Polski można tu dotrzeć samochodem w ok. 18 godzin lub samolotem, np. do Dubrownika.

FOT. SHUTTERSTOCK

Chorwacja Pula

Pula leży na siedmiu wzgórzach, nad zatoką w południowo-zachodniej części półwyspu Istria, w otoczeniu małych wysp. Dzięki antycznej arenie zyskała przydomek chorwackiego Rzymu. To największe miasto w regionie, liczące ponad 58 tys. mieszkańców, może poszczycić się długą historią – pierwsze wzmianki o osadzie pochodzą sprzed 3 tys. lat. W mieście zachowało się wiele zabytków, które wzniesiono kilkanaście wieków temu – monumentalny amfiteatr, świątynia Augusta czy mały teatr. W pobliżu znajdują się rozległe plaże. Można tam dojechać autobusami miejskimi. Najbliższe kąpieliska Puli to Medulin i Premantura.

 44°52'N 13°51'E

W Puli znajduje się stacja kolejowa, z której odjeżdżają pociągi do różnych miast Chorwacji, a na przedmieściach kończy się autostrada A9.



Macedonia Ochryda



Ochryda oferuje nie tylko odpoczynek i rozrywkę, ale także kulturę i historię. Dzięki dużej liczbie zabytków, kościołów i klasztorów jest nazywana bałkańską i europejską Jerozolimą. Miasto jest również słynne ze względu na Jezioro Ochrydzkie – najstarsze w Europie i najgłębsze na Bałkanach. Na jego brzegach zachowało się wiele średniowiecznych zabytków, jak np. klasztor św. Nauma. Ochrydę wraz z jeziorem wpisano w 1980 r. na listę UNESCO.

 41°07'N 20°48'E

Z Polski nie ma bezpośrednich lotów do Macedonii. Do Ochrydy można dolecieć np. z Londynu i z Berlina. Autobus ze Skopje dociera do Ochrydy w 4 godziny.

Litwa Połaga

Połaga to największy litewski kurort. Znajduje się w zachodniej części kraju, ok. 25 km od Kłajpedy. W sezonie letnim cieszy się sporym powodzeniem, po wakacjach jest tu znacznie mniej turystów. Główny deptak to ulica Basanaviciaus. Oferta noclegowa jest bogata – znajdziemy tu zarówno hotele, jak i tańsze pensjonaty. Warte odwiedzenia jest m.in. Muzeum Bursztynu w pałacu Tyszkiewiczów. Niewiele osób wie, że 100 lat temu Połaga była jednym z największych światowych centrów przetwarzania jantaru. Najładniejsze plaże znajdują się w południowej części kurortu – im dalej od mola, tym są szersze i bardziej odludne.

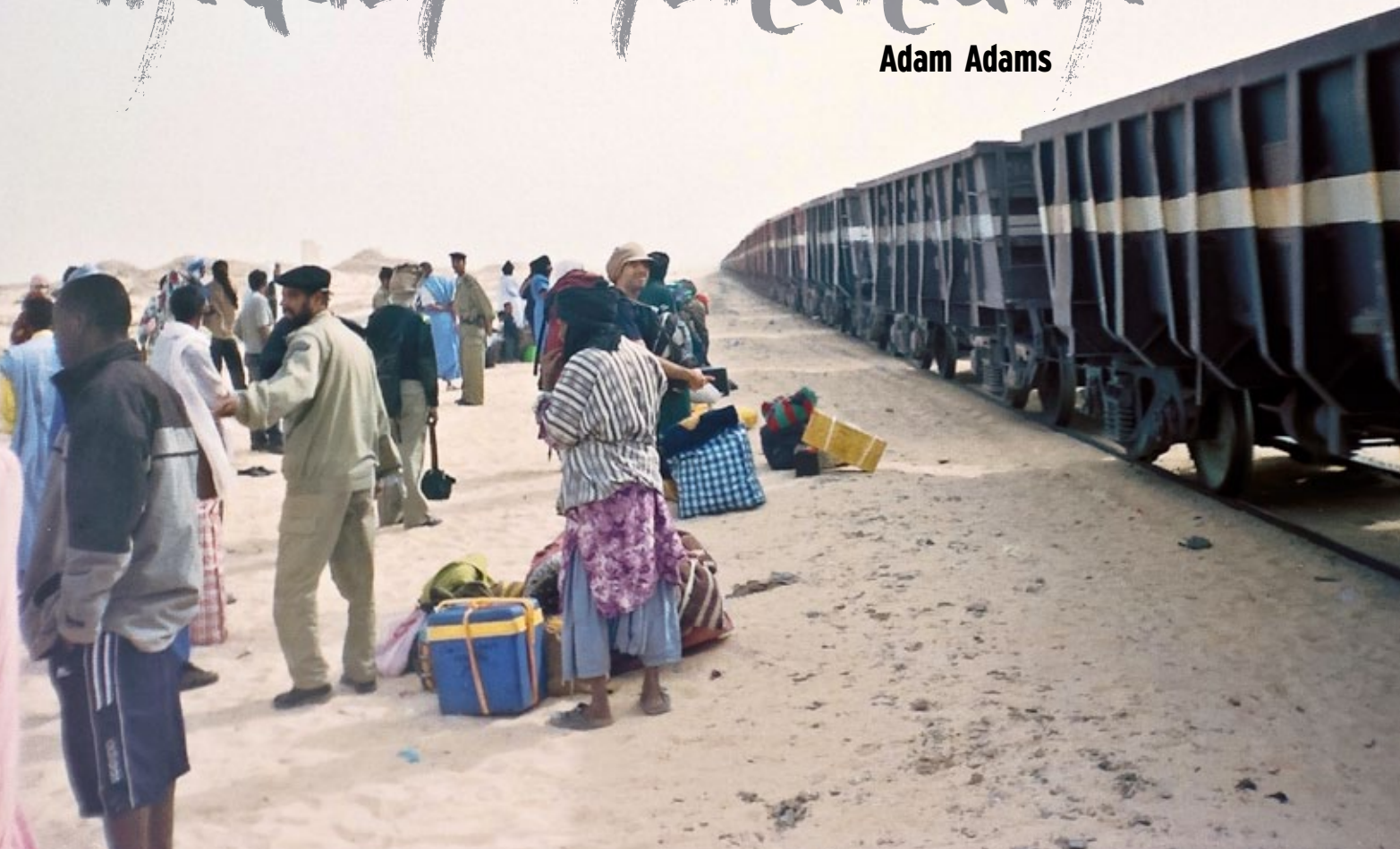
 55°55'N 21°04'E

Przewozy do Połagi z większych miast Polski oferują tanie linie autokarowe. Podróż z Warszawy (nie licząc postojów) zajmuje ok. 9 godzin.



Podróż między wyznaniami

Adam Adams



Alleluja! Dotarłem właśnie do końca cywilizacji. Sprawnie przeszedłem kontrolę na przejściu granicznym na samym dole Maroka, czy jak kto woli – Sahary Zachodniej. Teraz całe moje życie jest wyłącznie w rękach Allaha. Pas ziemi niczyjej liczy około trzech kilometrów i jak ostrzegali mnie Marokańczycy, jest szczególnie niebezpieczny. Porywają tu dla okupu albo od razu obcinają głowę.

Troskliwy współtowarzysz podróży każe mi zejść z drabiny, a w ostateczności – skoro się tak bardzo upieram – radzi, abym mocno się trzymał, bo będzie niedobrze. Miał rację, bo nagle usłyszałem serię przerażającego łomotu, a następnie nasz wagon został szarpnięty i pociągnął za sobą jeszcze z setkę podobnych – częściowo wypełnionych podróżnymi, a częściowo kozami i baranami. Gdybym nie uczeplił się mocno uchwyty, nie byłoby szansy utrzymać się na drabince i spadłbym z wysokości na metalową podłogę.

POD KOCEM MUŻULMANINA

Cały skład naszego pociągu ma około 2 km długości i jest ciągnięty przez trzy lokomotywy. Trasa liczy dokładnie 648 km. Pociąg pokonuje ją w ciągu niecałej doby. Ze stacji Zuwirat, gdzie Mauretania ma swoje zagłębie, wozi rudę żelaza do portu w Nawazibu. W drodze powrotnej skład kursuje do kopalni całkiem pusty, z czego korzysta miejscowa ludność, aby za darmo dojechać do Choum czy też dalej, aż do końca wybudowanej w 1963 r. linii. Jest obowiązkowym

punktem wędrówki każdego szanującego się globtrotera będącego przejazdem w tym specyficznym kraju.

Jak sama nazwa wskazuje, Mauretania jest islamska. Tę religię wyznaje tutaj ponad 99 proc. ludności. Podróżuję z kilkoma mieszkańcami Sahary. Zaraz po odjeździe nasz wagon zostaje podzielony na trzy części. Pierwszą, niewielką, kuchenną, mieszczącą się w samym rogu, gdzie młody Berber rozpalil

ogień na kolację. Następnie największą, sypialnianą, na której z rozmachem rozwinęto dywan. Wreszcie w drugim końcu wagonu znajduje się część toaletowa, gdzie – jak w kucwie dla kota – rozsypano pustynny piach. Pociąg ciągnie za sobą wprawdzie jeden zdezelowany wagon osobowy, ale jechanie w takiej „luksusowej salonce” byłoby dla prawdziwego podróżnika dyshonorem.

Zaczyna zmierzchać. Moi współtowarzysze odmawiają modlitwę, a następnie przygotowują wielbłądzinę z ryżem. Posiłek je się oczywiście rękoma i z jednej miski. I nie wypada odmówić przyjęcia zaproszenia. Ponieważ jestem wegetarianinem, ograniczam się do ryżu. Herbata berberska to prawie sama esencja plus kopa cukru. Mówią na nią „berberskie whisky”.

Pociąg, choć sunie jakieś 40 km/h, podnosi za sobą tumany piasku, który sypie się do naszego wagonu. Robi się zimno. Zupełnie nieprzygotowany na taką okoliczność, zastanawiam się, jak dotrwam do rana. Ale młody chłopak, widząc, że nie mam się czym przykryć, wstaje i okrywa mnie troskliwie swoim kocem, sam zaś śpi pod drugim wraz z bratem.

NA WYSPIE MUSZELKOWEJ

Niewielka wysepka Fadiouth jest położona wśród namorzynów, nieopodal miasteczka Joal Fadiouth, oddalonego od Dakaru o jakieś 150 km. Jest popularna wśród turystów ze względu na malowniczy muszulkowy cmentarz pod baobabami. W zasadzie wysepka cała jest pokryta muszlami, co sprawia, że dzień w dzień przewijają się przez nią rzesze przybyszów wraz ze swoimi kamerami i aparatami, które coraz częściej są wypierane przez smartfony. Na wyspę prowadzi 500-metrowy drewniany most.

Senegal – podobnie jak Mauretania – jest zdominowany przez islam, ale wyjątkowo w tym regionie jest on w zdecydowanej mniejszości. Dominują tu bowiem chrześcijanie, głównie obrządku katolickiego. Nad wyspą góruje kościół pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego.

Przebywając tutaj, odnoszę wrażenie, że piekło nie istnieje, a balanga trwa 24 godziny



FOT. RADOŚLAW BOTEV – WMPEDIA



FOT. JADAM ADAMS

MALUCHY Z MALI
Pogwarki z dziećmi
z malijskiej wioski, przy
drodze do Senegalu.

na dobę. Mijam po drodze zataczających się panów, a niekiedy i panie. Jeden samozwańczy przewodnik o imieniu Francisco jest wyjątkowo natarczywy. Schronienie przed nim znajduję dopiero w kościele. Akurat trwają w nim przygotowania do pogrzebu. Kobiety intonują w tutejszym języku pieśń na jakąś znaną mi melodię. Po chwili przypominam sobie: to przecież tak często śpiewane polskiemu papieżowi „Góralu, czy ci nie żal”...

W tym czasie przed drzwiami kościoła zmarli są wystawiani w trumnach na widok publiczny. – *Trzy osoby? Jakiś wypadek?* – pytam. Okazuje się, że nie. Ot, tak po prostu się złożyło.

Mszę żałobną koncelebruje ośmiu księży. Następnie kondukt dociera do mostu wiodącego na cmentarz. Kapłani na pożegnanie obficie skrapiają trumny i rozchodzą się wraz z ministrantami. Kobiety natomiast pozostają przy mostku, gdyż na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzają zmarłych wyłącznie mężczyźni.

To taki lokalny przesąd. Groby kopie się w pokrywających wzgórze muszlach, więc mogiły są bardzo płytkie – na około pół metra.

A w muszelnikowej wiosce zabawa nie ma końca. Co rusz jak nie bar, to sklepik z dostojnie poukładanymi obok siebie butelkami wody, wina czy innych alkoholi, zaraz pod świętymi obrazkami. Jezus w Kanie Galilejskiej prze-



mienił wodę w wino i można odnieść wrażenie, że mieszkańcom wyspy ten fragment z Ewangelii wyjątkowo przypadł do gustu.

ZADUSZKI W BAMAKO

W Bamako, stolicy Mali, zostałem przez pewnego młodego żandarma zaproszony na uroczystość rodziną – wspomnienie zmarłej rok temu głowy rodziny.

Schodzą się bliscy i znajomi wspomnianego. Ubija się rytualnie barana. Goście odmawiają modlitwy, uczują, rozmawiają. Oczywiście bez grama alkoholu. Mama mojego znajomego przygotowała popularny tutaj *dżem-dżem*, czyli napój na bazie startego imbiru oraz limonki. Do tego duży kawał lodu i świeże listki mięty. Pełna kultura.

obcokrajowcom”. Podobną recenzję znajdziemy przy opisie Mali.

KADU W KANKAN

Republika Gwinei to z kolei uroczy i na wpół jeszcze dziki kraj. Ludzie są tutaj przyjaźni, zwłaszcza w górskich wioskach. Większość stanowią muzułmanie, ale w dużych miastach są ośrodki misyjne. W Konakry, stolicy kraju, zatrzymuję się w jednym z nich.

Zawiadujący recepcją Michael informuje, że w niedzielę odbędzie się w katedrze uroczysta msza dziękczynna z okazji 25. rocznicy nawiedzenia Gwinei przez papieża Jana Pawła II. „Super!”, myślę i postanawiam wziąć udział w obchodach.

Katedra nie jest duża i – jak w Polsce – wypchana po brzegi. Wierni stoją także na placu przed budynkiem. Z trudem udaje mi się wcisnąć do środka i zająć miejsce pod chórem.

BLIŻEJ DO NIEBA

Pogrzeb na cmentarzu przynależnym do Fadiouth. Ze względu na trudne „muszelkowe” podłoże zmarłych chowa się tu w dołach zaledwie półmetrowych.



FOT. SHUTTERSTOCK

MOST DO MUSZELEK

Malowniczy półkilometrowy drewniany most łączący ląd z muszelkową wysepką Fadiouth. Już samo przejście po nim jest nie lada gratką. A to dopiero początek atrakcji...

A polski MSZ przestrzegają, żeby omijać Mali szerokim łukiem!

Czy rzeczywiście należy bać się islamu, jak sugerują politycy i dziennikarze? MSZ przestrzega też podróżnych przed wycieczkami do Mauretanii. W sekcji „ostrzeżenia dla podróżujących” podkreślono na czerwono: „Nie podróżuj!”, a w nagłówku dodano: „zły stan bezpieczeństwa w regionie, zamachy i porwania wymierzone przeciwko



FOT. ADAM ADAMS

Mszę koncelebrują biskupi. Postanawiam nagrać fragment homilii, w której biskup wielokrotnie odnosi się do tamtej historycznej wizyty. Wyciągam z torby niewielką kamerę. Niestety, albo ochrona jest bardzo czujna, albo to ja, jako biały, zwracam szczególną uwagę. Po chwili zjawia się przy mnie jakiś chłopak w mundurze skauta i ostentacyjnie wyprasza z kościoła na zewnątrz.

Kankan to większe miasto położone w środkowej części Gwinei. Ze stolicy kraju droga wiedzie przez malownicze góry, ale niestety jest ona w takim stanie, jakby tuż przed chwilą zakończyła się tutaj wojna. Dodatkowo podróż „uprzyjemniają” liczne posterunki żandarmerii. Niektórzy zatrzymują tylko tak, aby sobie pogadać, ale bywa, że inni sprawdzają dokładnie wszystko, aby przyłapać kierowcę na czymś, czego ten nie ma, i mieć pretekst do tzw. *kadu*, czyli prezentu – łapówki. Ja oczywiście wszelkie wymagane prawem dokumenty

i elementy wyposażenia zawsze mam, niemniej czasem okazuje się, że i to zbyt mało. Zdarza, że zdesperowany obrotem sprawy funkcjonariusz po sprawdzeniu, czy mam gaśnicę,

SENEGALCZYK Z KÓZKĄ
 Sympatyczne spotkanie pośród afrykańskiego pustkowi.



FOT. ADAM ADAMS



FOT. ADAM ADAMS

dwa trójkąty odbłaskowe oraz apteczkę, i tak domaga się *kadu*, argumentując grzecznie, że chciałby po prostu dostać jakiś prezent, aby „móc mnie miło wspominać”.

W Kankan także zatrzymuję się w katolickiej misji. Pobyt jest droższy niż w Kona-kry, standard zaś gorszy. W misjach raczej się nie przelewa: wierni mają ograniczone budżety, a ich utrzymanie kosztuje. Stąd komercyjna działalność tych ośrodków, czyli świadczenie usług noclegowych oraz gastronomicznych.

AFRYKA PODZIELONA INACZEJ

Według dostępnych statystyk chrześcijan na świecie jest ponad 2 miliardy, a muzułmanów



WYPOMINKI

Wspominanie głowy rodziny – zmarłego rok wcześniej. Zesli się najbliżsi, była wspólna modlitwa, a po niej posiłek.



wykorzystujących istniejące antagonizmy dla doraźnych interesów.

W Koranie możemy przeczytać: „To, co wy rozdajecie z dóbr, powinno być dla rodziców i bliskich krewnych, dla sierot, biednych i podróżnego”.

„Gość w dom, Bóg w dom”. Wyznawcy Allaha, co warto podkreślić, skrupulatnie się tej dewizy trzymają. Czego wielokrotnie podczas mojego saharyjskiego szwendania mogłem doświadczyć.

Największy problem na tym kontynencie ma raczej charakter epidemiologiczno-demograficzny. Afryka została „podzielona” mniej więcej po równo: na północy króluje islam, a po przekroczeniu równika w siłę rośnie chrześcijaństwo. Zachorowalność, choćby na AIDS, jest na południu kilkadziesiąt razy większa niż w krajach muzułmańskich. Znacznie też różnią się średnie długości życia: 77 lat w Maroku czy 75 w Egipcie przy zaledwie 52 latach w chrześcijańskiej Zambii czy Mozambiku.

To są prawdziwe zmartwienia Afryki, nie zaś animozje na linii islam – chrześcijaństwo. Ale zgłębienie ich to już całkiem inna historia. ○

Z PUSTEGO W PRÓŻNE

Autor udaje, że coś tam gotuje, ku wielkiej ucieście miejscowych z Bamako.

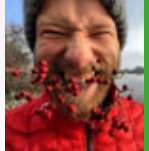


Adam Adams

Powsinoga uwielbiający dalekie i bliskie podróże oraz pizzę. Najlepiej funkcjonuje, kiedy temperatura powietrza wynosi powyżej 25°C, w związku z tym aktualnie przebywa w Indiach. Można go śledzić na www.facebook.com/magicalspace

około 1,6 miliarda. W 2050 r. obie liczby mają się zrównać. Czy mamy się czego obawiać?

W krajach, które krok po kroku odwiedzam, nie zauważam właściwie żadnych wrogości pomiędzy dwiema głównymi religiami świata. Wygląda na to, że społeczności te żyją tu ze sobą w zgodzie. Nie oznacza to, że incydenty na tle religijnym się nie zdarzają. Nie mam przy tym na myśli tych poważniejszych konfliktów, przeważnie inicjowanych przez organizacje przestępcze, takie jak ISIS, Boko Haram, czy też polityków



ZIELONĄ DROGĄ DO PRACY

Przez pewien czas pracowałem w centrum Warszawy, przy Nowym Świecie. Mieszkałem niedaleko, na Mokotowie. Dojazd autobusem zajmował mi 20–25 minut. Ale wystarczyło, że nie zgrały się światła albo utworzył się korek, i jechałem 40 minut lub dłużej. Policzyłem, ile zajmują mi dojazdy z dojściem na przystanki, czekaniem i autobusem. Okazało się, że nawet jeśli nie ma korków, w jedną stronę to 45–50 minut.

Strasnie się wkurzyłem. A już najbardziej denerwowało mnie to, że płaciłem za marnowanie tego czasu, często w zatłoczonym, śmierdzącym autobusie. Nie jestem fanem tłoku i zaciągania się potem, więc zacząłem kombinować. Nie miałem ochoty jeździć rowerem, bo z braku ścieżek na całej długości musiałbym jechać ulicą, co nie jest bezpieczne, a poza tym i tak jechałbym w hałasie i spalinowym smrodzie. Chciałem czegoś innego.

Któregoś dnia oświeciło mnie, że mam zieloną autostradę. Prawie od drzwi do drzwi mogę przejść warszawskimi parkami. Najpierw kawałek uliczkami pomiędzy blokami, ale potem już sama zielen: Łazienki, skwer Strehla, parki Marszałka Rydza-Śmigłego i K. Beyera.

Za pierwszym razem po prostu zrobiłem sobie spacer do pracy. Szedłem około 50 minut, tyle ile zajęłoby mi cała trasa autobusem, z czekaniem i przejściami. Ale w drodze okazało się, że są jeszcze inne

czynniki, o których wcześniej nie pomyślałem. Po pierwsze, zamiast rano wkurzać się na spóźniony lub zatłoczony autobus, zamiast biec na przystanek, wyszedłem na spokojnie z domu, z małym zapasem czasu, i na spokojnie dotarłem do pracy. Zamiast porannej nerwówki miałem poranny relaks. Po drugie, szedłem albo w ciszy, albo przy akompaniamencie ptasich śpiewów. Jak później przeczytałem, to nie tylko jest przyjemne, ale także bardzo produktywne. Ptasie śpiewy tworzą



FOT. SHUTTERSTOCK

stan, który Julian Treasure, autor książki „Sound Business” (Dźwięczny biznes) nazywa stanem „ciało zrelaksowane, mózg w pogotowiu”:

„Dla ludzi ptasie trele są relaksujące i uspokajające, bo przez tysiące lat nauczyli się, że kiedy ptaki śpiewają, są bezpieczni. Dopiero kiedy przestaną śpiewać, jest się czym martwić. Ptasie śpiew to także

naturalny budzik, który sygnalizuje początek dnia. Ten dźwięk pobudza nasz umysł do pracy”.

Russell Jones, cytowana przez BBC w artykule o ptasich trelach, powiedziała:

„Nie jestem pewna, czy jest jakikolwiek inny dźwięk, który potrafi zrobić tyle dobrego. Ten dźwięk powinien być na każdej playliście, puszczały chociaż raz dziennie”.

Z kolei National Trust, brytyjska organizacja charytatywna opiekująca się terenami zielonymi i zabytkami, oświadczyła, że słuchanie treli przez kilka minut dziennie pomaga zwalczyć zły nastrój.

Okazało się także, że taki spacer jest bardzo dobrym przygotowaniem do pracy. Wyniki badań przeprowadzonych w USA, na Uniwersytecie Michigan, pokazały, że osoby, które spacerowały 50 minut w terenie zielonym, były bardziej kreatywne i dużo lepiej radziły sobie z zadaniami pamięciowymi niż osoby, które spacerowały w terenie zabudowanym.

Zatem nie tylko nie tłoczyłem się w autobusie, ale także dbałem o swoje zdrowie psychiczne i kreatywne myślenie. A przy okazji zobaczyłem Warszawę z innej perspektywy. Eksplorowałem miejsca, w których nigdy wcześniej nie byłem, których nie miałem szans zobaczyć z okien autobusu i dla których specjalnie nie chciałoby się ruszyć z domu.

Przy kolejnych przejściach zdecydowałem, że zamiast spaceru zrobię sobie po drodze trening. Pracowałem tyle, że nie miałem czasu wyskoczyć do siłowni, a czułem, że tego potrzebuję. Następnym

razem ubrałem się na sportowo, wzięłem kijki trekkingowe i od samego początku nadałem sobie konkretne tempo. Normalnie człowiek pokonuje jeden kilometr w ciągu 12–15 minut. Z kijkami można zejść do siedmiu i mocno się napocić. Efekt był taki, że nie tylko miałem konkretny trening, spaliłem trochę kalorii i zadbąłem o zdrowie, ale także skróciłem czas dojazdu do 30–35 minut. Byłem na miejscu zdrowszy, zrelaksowany i szybciej niż autobusem. ○

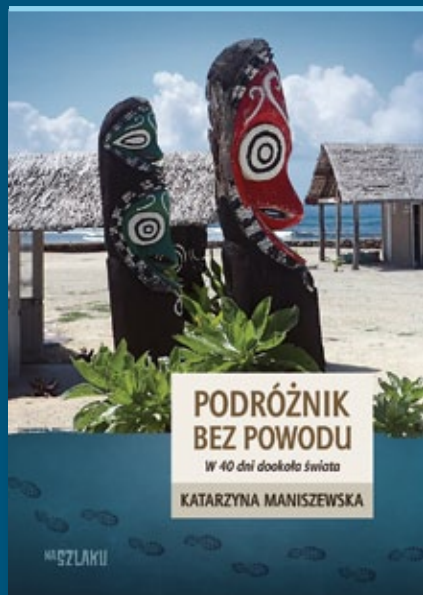
Informacje praktyczne:

- Żeby wytyczyć swoją zieloną autostradę do pracy, wejdź na Google Maps, zaznacz miejsce startu i dojazdu i postaraj się wytyczyć drogę tak, żeby jak najdłużej prowadziła terenami zielonymi.
- Miejsce: Łazienki Królewskie, skwer Strehla, parki Marszałka Rydz-Śmigłego i K. Beyera.
- Czas: 30–40 minut.
- Co zabrać: mały plecak z rzeczami na zmianę, wodę, kijki do trekkingu albo nordic walkingu.
- Koszty: brak.
- Poziom trudności: niski.

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

R E K L A M A



W 40 dni dookoła świata

- z plecakiem
- przez 10 krajów
- bez rezerwacji
- bez planów

Druga część książki

Katarzyny Maniszewskiej
PODRÓŻNIK BEZ POWODU



Sorus



Leipziger
Weihnachtsmarkt

Grzegorz Skrzypak

**SZTUKA,
WINO
I KIEŁBASA**

Grzane wino, słodczyce, wszechobecny zapach świeżych pierników i niesamowita atmosfera – to tylko niektóre powody, dla których warto wybrać się za naszą zachodnią granicę przed Bożym Narodzeniem. Właśnie w Niemczech odbywają się jedne z najbardziej znanych cyklicznych świątecznych jarmarków.

Wyruszamy z Krakowa. Od początku jest dobrze – autostrada biegnie prawie spod samego domu aż do Lipska. Szybko i wygodnie dojeżdżamy do granicy, później mijamy Budziszyn, Drezno i po kolejnych 200 km meldujemy się w jednym z wielu nastrojowych, a zarazem nowoczesnych hoteli w centrum miasta. Czas na szybką kolację, oczywiście z piwem, i do łóżka, bo jutro od rana zamierzamy utwierdzać się w przekonaniu, że odbywa się tu jeden z najciekawszych tego typu jarmarków w Niemczech.

TARG ŁAKOCI I PIWNICIA FAUSTA

Położony w Saksonii Lipsk to ważny ośrodek kulturalno-naukowy z bogatą historią.



FOT. SHUTTERSTOCK



Pierwsza wzmianka na temat tego miejsca pojawiła się w kronice z 1015 r., dlatego 2 lata temu obchodzono rocznicę 1000-lecia miasta. Historia jest tu obecna prawie na każdym kroku. Można zarówno obcować ze sztuką, jak i czerpać radość z natury. Na przestrzeni dziesięciu wieków saksońska metropolia doczekała się wielu przydomków – miasto muzyki i targów, miasto bohaterów i miejsce Pokojowej Rewolucji, Mały Paryż, Wenecja Północy.

Na rynku znajduje się renesansowy Stary Ratusz, wybudowany w latach 1556–1557. Mieści się w nim

STARY PIERNIK

Początki pierników sięgają średniowiecza. Aby poznać tajniki ich wyrobienia, warto udać się do jednej z niewielkich cukierni w centrum miasta.

PIWNA PRZEGRYZKA

Preclę najlepiej smakują prosto z pieca. Są znakomite jako przegryzka przed obiadem lub do piwa.

Muzeum Historii Miasta. Obok są sukiennice i budynek Starej Wagi z 1555 r. Niedaleko rynku, na placu zwanym Targ Łakoci, stoi XVII-wieczny barokowy gmach Starej Giełdy oraz pomnik związanego z miastem Goethego. Z poetą jest też związana Piwnica Auerbacha w pasażu Mädler, gdzie często gościł podczas

studiów w Lipsku (1765–1768). Opowiadano tam legendę o doktorze Fauście, który w 1525 r. wydostał się z lokalu, ujeżdżając beczkę po schodach, a wszystko dzięki kontaktom z diabłem. Historia i miejsce tak zainspirowały Goethego, że wykorzystał piwnicę jako jedno z miejsc akcji swego najsłynniejszego dramatu „Faust”.

W późnogotyckim kościele św. Tomasza znajduje się grób Jana Sebastiana Bacha, który w latach 1723–1750 pracował tu jako kantor. Ciekawy jest też kościół św. Mikołaja – późnogotycka świątynia halowa z początku XVI w.

W Lipsku znajduje się także jeden ze starszych ogrodów zoologicznych na świecie, założony w 1878 r. Na powierzchni 22,5 ha można oglądać 900 gatunków zwierząt. W pobliżu Lipska jest też największy w Europie sztuczny górski tor kajakowy Markkleeberg.

ROŻARZONY TRUNEK I PUZONIŚCI

Najpierw chcemy zobaczyć Historyczny Jarmark Bożonarodzeniowy Stary Lipsk, więc kierujemy się na Naschmarkt. Tradycja tego wydarzenia sięga 1458 r. Wyjątkowe oferty kulturalne i kulinarne wśród fascynującej, historycznej scenerii śródmieścia oraz 300 stoisk sprawiają, że to jeden z największych i najpiękniejszych jarmarków w Niemczech.

To tu najlepiej spróbować najsłynniejszego





WINNA ROZGRZEWKA
Stoisko z Glühwein, czyli grzonym winem. Jest ono doskonałe na zimowe wieczory.

trunku – grzanego wina *Glühwein* (co można przetłumaczyć jako „rozżarzone wino” – nazwa pochodzi od gorących metalowych naczyń, w których przyrządzało się trunki). To rozgrzewający napój serwowany podczas świątecznych jarmarków w Niemczech i Austrii. Jest symbolem adwentu i nieodłącznie kojarzy się z Bożym Narodzeniem. Sekretem dobrego *Glühwein* jest odpowiednia proporcja czerwonego wina, cynamonu, cukru, pomarańczy oraz goździków. Cena nie jest wygórowana – od kilku lat utrzymuje się na poziomie 2,5–3 euro za kubeczek. Smakuje wybornie.

Jest dopiero południe, a my czujemy się już dobrze rozgrzani, zatem czas na obejrzenie pozostałych atrakcji i miejsc, które oferuje nam ten zimowy jarmark. Warto na pewno posłuchać tradycyjnego koncertu puzonistów, rozbrzmiewającego z balkonu Starego Ratusza, lub rozkoszować się jednym z koncertów adwentowych znanego na całym świecie chóru chłopięcego Thomanerchor, który odbywa się w kościele św. Tomasza. Chór powstał

w 1212 r. i składa się z 92 chłopców w wieku od 9 do 18 lat.

Scena kulturalna z bogatym świątecznym programem, tradycyjna wystawa modeli kolejowych i spotkanie ze Świętym Mikołajem to doskonała zabawa dla dzieci, ale i dla rodziców. Dorosli spotykają się też w wesołym towarzystwie przy bożonarodzeniowej piramidzie na placu Nikolaikirchhof.

WYPRZEDAŻ W PAŁACU

Zasiedzieliśmy się na koncercie puzonistów. Zbliżyła się pora obiadowa. Zanim znajdziemy ciekawą restaurację, nie omieszkamy wrzucić czegoś na ząb i skosztować drugiego słynnego kulinarnego

NAJLEPSZA KIEŁBASA JEST NA PLACU NASCHMARKT
Currywurst – to właśnie stoisk z tą kiełbasą jest najwięcej na każdym jarmarku.



LEIPZIG BEI NACHT!

Jarmark Stary Lipsk znajduje się na placu Naschmarkt. To serce miasta i jedno z najczęściej odwiedzanych miejsc, zarówno w lecie, jak i zimą.



FOT. SHUTTERSTOCK

produktu, którego w tym miejscu i czasie zwyczajnie nie wypada sobie odmówić. Mowa oczywiście o *Currywurst*, jednym z typowych niemieckich dań, szczególnie popularnych właśnie na bożonarodzeniowych jarmarkach. Jest to grillowana lub pieczona kiełbasa posypana obficie przyprawą curry i polana specjalnym sosem. Danie najczęściej serwuje się

bloki lub serca, które często są zdobione napisami. Większość pierników jest oblana czekoladą. Tyle pyszności w zupełności wystarczy. O tej porze roku dzień kończy się dość szybko, a my chcemy zaliczyć jeszcze jeden ważny punkt programu – zakupy.

Podczas jarmarku można odwiedzić liczne stoiska z różnymi pamiątkami i artykułami,

POZNAJ ŚWIAT DZIECKA

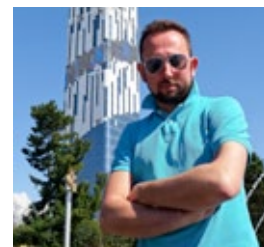
Jest też coś dla najmłodszych: zabawki, ozdoby świąteczne i wyroby rękodzielnicze. Każdy sprzedający musi udowodnić oryginalność swoich produktów.



z bułką lub frytkami. *Currywurst* wymyśliła w 1949 r. Herta Heuwer, dziesięć lat później opatentowała wynalazek. Potrawa jest sprzedawana we wszystkich dużych niemieckich miastach w ilości 800 mln porcji rocznie. W Berlinie znajduje się nawet muzeum *Currywurst*. Obiad jednak odpuścimy, bo jeśli już tu jesteśmy, musimy spróbować innych pyszności, takich jak świeże precele prosto z pieca czy słynne pierniki z Pulsnitz. Wypieka się je od XVI w., kiedy na ich produkcję przyznano specjalny przywilej. Wyroby są wytwarzane przez dziewięć piekarni i jedną fabrykę. Choć receptury są tajemnicą, smak pierników jest zbliżony i różni się przyprawami (anyżem, goździkami, gałką muszkatołową, imbirem, kardamonem, fenkułem czy cynamonem). Smakołyk ma różne kształty – prostokąty,

kotych na co dzień nie kupimy w żadnym sklepie. Ale ci, którzy mają ochotę pobuszować w galeriach lub markowych butikach, również nie będą narzekać, bo w trakcie adwentu i w okresie świątecznym w Lipsku panują wyprzedaje.

Warto wybrać się na przykład w okolicę Augustusplatz czy Marktplatz, by wstąpić do jednej z wielu przepięknych, zabytkowych galerii, które przypominają pałace. Takim właśnie jest Lipsk. Perły kultury, kawiarnie i restauracje z tradycjami, zakupy w historycznych domach handlowych i pasażach. Wycieczka do tego miasta w okresie jarmarku bożonarodzeniowego staje się wydarzeniem kulturalnym, kulinarnym, turystycznym i handlowym. Bo Lipsk przyciąga nie tylko miłośników grzanego wina i kiełbasek. ○



Grzegorz Skrzypak

Podróżnik i dziennikarz. Od kilku lat na swoim. Właściciel firmy produkcyjnej z Krakowa. Jest współautorem i producentem podróżniczych programów telewizyjnych „Turystyczna Jazda” i „Zimowa Jazda”, które są emitowane w TVP Kraków, TVP 3 i TVP Polonia.



O RZUT BERETEM

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Grudzień to czas powrotów i spotkań. Wracamy w strony, które wydają się nam nudne i znane. Kiedy ostatnio zjawiałem się w moim rodzinnym mieście, przeżyłem nową fascynację miejscem, w którym mieszkałem przez 25 lat. Grudzień sprzyja poznawaniu okolicy, w której się przebywa. W przerwie świątecznej czy w słoneczne zimowe dni warto przyjrzeć się na nowo temu, co mamy tuż pod nosem.

Gdy myśli się o Częstochowie, pierwsze skojarzenie to Jasna Góra. Okazuje się jednak, że w jej cieniu można przeżyć niezwykle podróż w czasie. O Muzeum Produkcji Zapalek w Częstochowie słyszałem od lat. Znajdujący się na Szlaku Zabytków Techniki obiekt to perła techniki. Z pozoru popadający w ruinę budynek kryje niezwykle historie.

Można się tu dowiedzieć, że pierwsze „zapalaki” pojawiły się już w VI w. w Chinach. Pierwsze częstochowskie pudełka trafiły na rynek w 1882 r. Różne koleje losu, różni właściciele i przeciwności stawały na drodze przedsiębiorstwa. Głównym problemem były zawsze pożary, o które przy takiej produkcji wcale nietrudno. Podczas akcji strażaków w 1913 r. nakręcono tu film „Pożar zapalczarni w Częstochowie”, który jest jednym z najstarszych zachowanych polskich dokumentów filmowych. Charakterystyczne dla częstochowskich zapalek jest opakowanie z etykietą, na której jest czarny kot.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Odwiedzający muzeum mogą prześledzić cały proces produkcji zapalek. Oryginalnie zachowany park maszynowy należy do unikatów na skalę europejską, o ile nie światową. Ogrom zakładu świadczy o znaczeniu tego miejsca. Dzisiaj w bardzo kameralnej atmosferze można zobaczyć, jak wielkie maszyny produkują maleńkie zapalaki.

również o dziejach Olsztyna. Gdy oglądałem to niezwykle dzieło, nie mogłem uwierzyć, że jestem tak blisko miejsca, w którym bywałem setki razy. Zwiedzanie staje się tu spotkaniem z artystą, który z pasją opowiada o każdym detalu swojej pracy – to niezwykle przeżycie.

Szukałem dalej i dotarłem do Żarek – miasteczka z niezwykle historią. Muzeum

Poznanie świata najtrudniej zacząć od małych podróży. To jednak właśnie one mogą okazać się najbardziej pouczające i pożyteczne. Niekiedy marzymy o egzotyce, a pod nosem mamy miejsca, które są przecież marzeniem kogoś z drugiego końca świata. Grudzień sprzyja takiemu poznawaniu okolicy. Pomiędzy rodzinnymi spotkaniami jest sporo czasu, aby



Wstyd się przyznać – odwiedziłem to miejsce dopiero w tym roku. Oczarowany i rozochocony zacząłem szukać dalej. Północna Jura, na której się wychowałem, okazała się dla mnie terenem nieznanym. Podróżowałem po świecie, a zapomniałem o tym, co mogę zobaczyć, jadąc autobusem podmiejskim. W ten sposób właśnie dotarłem do Olsztyna, który jest znany z ruin kazimierzowskiego zamku na Szlaku Orlich Gniazd. Wiele razy obserwowałem kolory płotu przy ulicy tuż za rynkiem, ale do środka zajrzałem dopiero niedawno.

Trafiłem w niezwykle miejsce – zobaczyłem ruchomą szopkę, którą wyrzeźbił samodzielnie pan Jan Wewiór. Prawie 800 figur, w tym około 350 ruchomych! Szopka nie przedstawia jedynie historii Narodzenia Pańskiego, ale opowiada

Dawnych Rzemiosł rozjaśniło mi wiele tematów związanych z tymi okolicami. To dość nowy projekt w odremontowanym młynie, tuż przy jednym z największych placów targowych w regionie. Na sobotnim targu od wieków pojawiają się sprzedający i kupujący z całej okolicy.

Dopiero w murach muzeum dowiedziałem się więcej o dawnych zawodach, tradycjach i obyczajach. Połączenie multimedialnych i ekspozycyjnych z minionych epok idealnie współgra z poznawaniem przeszłości. Historii w tym miejscu można dosłownie dotknąć – spróbować swoich sił przy zakładaniu worka na mąkę czy pracy przy żarnie. Oglądałem w życiu najróżniejsze muzea i wystawy, a okazało się, że dopiero tu, 30 km od rodzinnego domu, poznałem pochodzenie wielu powiedzeń czy tradycji regionu.

to zrobić. Może to dobre postanowienie na Nowy Rok? Może dzięki temu rozpocznie się nowa podróż, która nie będzie miała końca, bo każda wolna chwila jest dobra na wycieczkę za miasto i odkrycie tego, co znajduje się w pobliżu.

Dziękuję wszystkim, którzy zaglądają na strony tej rubryki, życzę dobrych Świąt i samych wspaniałych wypraw w Nowym Roku. Do zobaczenia w podróży! ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

CZAR CHINATOWN

Magdalena Zelewska

Yangon to największe miasto Mjanmy. Turystów przyciąga kapiąca złotem pagoda Schwedagon, monstrualny posąg śpiącego Buddy Chaukhtatgyi i Muzeum Narodowe. Nie bogactwo świątyń ani różnorodność muzealnych artefaktów urzekły mnie jednak w pięciomilionowym mieście, lecz kontekst, w którym pewnego poranka zjadłam smażony makaron...

Handlarz zieleniną ze swych plonów ułożył fantazyjny chlorofilowy kapelusz. Na chwilę zamarłam, starając się odgadnąć istotę jego fryzury. Okazało się, że stanowią ją łodygi kilku kilogramów pietruszki.



Gorczyca sarepska, pizmian, trukwa... nie mogłam się nadziwić różnorodności warzyw.



W czasie kolonii miasto było mieszanką kulturową. Przed II wojną ponad połowę ludności stanowiła społeczność hinduska. Po przejęciu władzy przez wojskową juntę jednolitość etniczna znacznie wzrosła na rzecz Bamarów. Na targu można jednak nadal spotkać przybyszów z Chin, Indii, a także Bangladeszu, Sri Lanki, Nepalu i Tybetu.



Żona rzeźnika na miejscu ćwiartowała obdarte dopiero co ze skóry mięso i sprzedawała je na kilogramy. Posłuży ono sprzedawcom streetfoodu do komponowania przepysznych zup, makaronów i kanapek. Tego ranka sama pożarłam monstrualnych rozmiarów porcję nudli z kurczakiem.



Codziennie odbywa się tu malowniczy spektakl. By móc go obserwować, najlepiej przyjść wcześniej. Młody sprzedawca selerów, owoców morza i słonecznika bulwiastego jako pierwszy zawitał na targu, gdzie począł ohocho rozkładać swoje towary.



Żona rybaka jakby przybrała suknię balową z ryb. Bogato rozstawione błaty były zapewne efektem nocnego połowu jej małżonka.



Na środku ulicy rozłożyła się handlarka zielenią, blokując ruch uliczny. Pieczołowicie układała przed sobą rozmaite przysmaki. Wśród nich rozpoznałam przepękle, okrę, kunduri i topinambur.



Podobno świeżość to drugie imię yangońskiego jedzenia ulicznego. Nic więc dziwnego, że chiński targ i jego pyszności są na pierwszym miejscu na liście każdego łowcy smaków.



Krewetki gambas w lodowej kąpieli zachęcająco strzygły wąsami. Ledwo co dotarły na miejsce znad Morza Andamańskiego, a pewnie jeszcze przed południem zostaną nabite na bambusowe patyki i upieczone w palącym ogniu barbecue.



Magdalena Zelewska

Absolwentka filologii polskiej na UMK w Toruniu i MJM Graphic Design w Paryżu. Laureatka licznych konkursów fotograficznych w Polsce i za granicą. Zafascynowana ludami plemiennymi, odbyła wiele podróży do takich krajów, jak Etiopia, Ekwador, Indonezja, Birma czy Papua, czego efektem jest cykl zdjęć „Into The Tribes”. Mieszka w Paryżu.

Ponad stuletnia obecność Brytyjczyków daje o sobie znać na każdym kroku, chociażby niszczącą architekturą. To Anglicy w 1845 r. ogłosili Yangon stolicą kraju, który nazwali Birmą. Status stolicy miasto utraciło dopiero w 2005 r. na rzecz Naypyidaw. Znaczenie w rozwoju gospodarczym i kulturalnym utrzymało do dziś, jest najczęściej odwiedzanym przez turystów miejscem w Mjanmie.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Okolice Zatora przy ujściu Skawy do Wisły od ponad 700 lat słyną z hodowli karpia. Więcej o karpziu zatorskim można przeczytać w artykule na stronie 26.



🕒 1 GODZINA 🍴 6 OSÓB

KARP PO ZATORSKU

przepis nadesłał:

Dariusz Jędrzejewski



🍳 SKŁADNIKI:

- 1,5 kg filetu z karpia
- 5 jajek
- 0,5 kg pieczarek
- 0,3 kg sera żółtego
- 0,3 l śmietany 36 proc.
- sól, pieprz, mąka, olej

🍳 Jajka ugotować i pokroić w drobną kostkę. Usmażyć pieczarki i wymieszać je z pokrojonymi jajkami. Ser zetrzeć. Filet pokroić na porcje, posypać solą, pieprzem, obtaczać w mące i smażyć na oleju. Rybę ułożyć w naczyniu żaroodpornym, posypać masą pieczarkowo-jajeczną i na wierzchu serem. Przykryć naczynie i wstawić do piekarnika nagrzanego do 200°C na pół godziny. Po tym czasie odkryć, polać śmietaną i zapiekać bez przykrycia przez kilka minut do zarumienienia się wierzchniej warstwy.



FOT. SHUTTERSTOCK

PUSTE MIEJSCE

Wieczór wigilijny, za oknem cisza. Pada śnieg, dom pachnie choinką, piernikiem i goździkami. Na stole dodatkowe nakrycie, może zaraz ktoś przyjdzie... Wigilii nikt nie powinien spędzać sam, a bożonarodzeniowa tradycja nakazuje ugościć każdego, kto zapuka do naszych drzwi.

W polskich obchodach świąt Bożego Narodzenia najważniejsza jest Wigilia. Z radością czekam na ten najpiękniejszy dzień w roku, kiedy pustoszeją i cichną ulice, a ludzie gromadzą się w domach przy opłatku i wieczery wigilijnej. Na wielu stołach pojawia się wtedy dodatkowe nakrycie dla niespodziewanego wędrowca. Skąd wziął się ten zwyczaj, od wieków zakorzeniony w bożonarodzeniowej tradycji?

Podczas przedświątecznej wizyty w Muzeum Etnograficznym im. Franciszka Kotuli w Rzeszowie dowiaduję się, że ma on źródło w prastarych obrzędach przesilenia zimowego. Natomiast dawnej w podkarpackiej tradycji ludowej

puste miejsce przy wigilijnym stole miało symbolikę zaduszkową. Było przeznaczone dla zmarłych i wiązało się z wierzeniem, że przybyszą oni z zaświatów, aby w tę cudowną noc odwiedzić bliskich. To dla dusz zmarłych przodków stawiano na stole dodatkowy talerz i specjalne potrawy. Otwierano też drzwi, które na co dzień były zamknięte i zabezpieczone przed duchami – przez cały rok wisiały na nich specjalne remedia: poświęcone w Boże Ciało wianki, krzyż lub ostre narzędzia. Otwarcie w Wigilię tych drzwi było zaproszeniem i znakiem, że chce się zmarłych ugościć. Podobnym gestem było palenie świecy w oknie. Jej światło miało ukazywać duszom drogę do domu.

Boże Narodzenie było traktowane jako czas, kiedy domostwa odwiedzają zmarli. Dlatego nie było wolno wtedy hałasować i wykonywać pewnych prac, np. gotować. Przez całe święta jadano więc głównie potrawy pozostałe z kolacji wigilijnej, w dodatku – na zimno, gdyż obowiązywał również zakaz rozpalania ognia w piecu, który był uważany za siedlisko dusz. Dla zachowania ciszy dzień wcześniej przynoszono z komory odzież, a w niektórych domach oliwiono zawiasy w drzwiach, aby nie skrzypiały przy otwieraniu. Wszystko po to, aby w święta nie przeszkadzać duszom zmarłych.

W tradycji ludowej Podkarpacia święta Bożego Narodzenia nazywano Godami, gdyż tego dnia starano się godzić z nieprzyjaciółmi i wybaczać urazy. Święta te były traktowane także jako początek nowego roku. Dlatego czas ten obfitował w obrzędy, które miały zapewnić pomyślność, zdrowie i obfitość pożywienia przez cały rok.

Przed Wigilią odpowiednio przygotowywano izbę. Na podłodze rozrzucano słomę, w kącie stawiano snop zboża, u powały wieszano ozdobne „pająki”, które przypominały żyrandole widywane w dworach lub mieszczkańskich domach. Wykonywano je ze stomy, bibuły, włóczki,

lub skrawków materiału, fasoli, grochu. Pod powałą wieszano także podłaźniczkę (drzewko szpilkowe – choinkę), którą ozdabiano orzechami i jabłkami (symbolizowały urodzaj) oraz cebulą (odpędzała złe moce).

W Wigilię przez cały dzień poszczono. Po zmroku, gdy na niebie rozbłysła pierwsza gwiazda, siadano do postnej wieczerzy. Pilnowano, aby biesiadników była parzysta liczba. Jako pierwszy, na zaszczytnym miejscu, zasiadał gospodarz, w drugiej kolejności – po jego prawej stronie – mężczyźni, a po lewej – kobiety. Wieczerną rozpoczynała modlitwa odmawiana na kolanach, później śpiewano pieśń wieczorną. Dopiero wtedy zabierano się do jedzenia, a na początek gospodyni dawała każdemu po kromce chleba, resztę zostawiała na kolędę dla bydła.

Wigilijny stół był nakryty obrusem, pod którym leżało siano. Zgodnie ze zwyczajem stały na nim płody ziemi, czyli potrawy ze zbóż, ziemniaków, owoców, miodu, orzechów, grzybów, warzyw, roślin strączkowych i oleistych. Napojem wigilijnym był wywar z suszonych owoców, gdyż bardzo przestrzegano zakazu picia wody w tym czasie, aby nie mieć pragnienia przez cały rok. Woda była uważana za siedlisko złych mocy i dlatego podczas Wigilii nie podawano też ryb. Na stole pojawiały się przede wszystkim kasze (jęczmienna, pęczak, jaglana), rzepa, buraki, suszone śliwki, ziemniaki. Stawiano również groch (często wymieszany z kapustą), który spożywano jako pierwszą potrawę. Groch miał zapewnić sytość w nowym roku, a jego okrągły (czyli doskonały, jak uważano) kształt był dobrą wróżbą. Jadało także pierogi i kutię, czyli pszenicę z makiem i miodem. Po kolacji raczono się gorzałką.

Obok potraw wielką wagę przywiązywano do obrzędów, które w nowym roku miały zapewnić pomyślność, zdrowie i obfitość pożywienia. Na przykład kolację wigilijną należało zjeść jedną łyżką, której nie wolno było wypuścić z ręki, aby nie sprowadzić na siebie nieszczęścia. Z kolei po wieczerzy gospodarze zanosili do stajni i obory opłatek, siano i trochę każdej potrawy ze stołu, aby zwierzęta także miały radość ze świąt i dobrze się chowały. Najważniejszym momentem tego szczególnego wieczoru była msza pasterska (Pasterka), na którą ludzie szli całą gromadą, śpiewając w drodze pieśni adwentowe.



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Znajdź nas w cyfrowym kiosku Publico24 Newsstand



R E K L A M A

W wigilijny wieczór ściśle przestrzegano zakazu opuszczania domu, więc odwiedziny rozpoczynały się drugiego dnia świąt. Najpierw, o świcie, kawalerowie odwiedzali panny na wydaniu. Później wszyscy wierni uczestniczyli w wyjątkowej mszy świętej, podczas której obrzucali się wzajemnie owsem, bobem i grochem. Miało to zapewnić urodzaj i dobre plony w nadchodzącym roku. Wieczorem domy odwiedzali kolędnicy. Ich wizyta miała przynieść domownikom pomyślność. Za życzenia otrzymywali zboże, wędliny i specjalnie na ten cel wypiekane pieczywo.

Kiedy opuszczam gościnne progi rzeszowskiego Muzeum Etnograficznego, myślę sobie, że choć niewiele z tych

praktyk przetrwało, polska wieczerza wigilijna zachowała swoją niezwykłość i ogromne bogactwo dawnych obyczajów. Ot, jak chociażby piękną tradycję pozostawiania przy stole pustego miejsca dla niespodziewanego gościa. ○

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyca.

Pod choinkę

Tradycyjnie w grudniowym numerze prezentujemy pomysły na prezenty świąteczne. Część z nich przyda się przez cały sezon, inne tylko w zimie. Mamy nadzieję, że pomożemy w podjęciu dobrych decyzji.



NA CAŁY ROK BERGANS OF NORWAY GJENDE

To lekka i wytrzymała kurtka membranowa, która sprawdzi się bez względu na warunki atmosferyczne. Kompletną ochronę gwarantuje membrana Bergans Element Active®, która chroni ciało przed deszczem i wiatrem oraz efektywnie odprowadza nadmiar ciepła i całą wilgoć nagromadzoną w trakcie aktywności fizycznej. Trekkingowej funkcjonalności dodają wywietrzniki pod pachami oraz odpinany kaptur, a wyprofilowane łokcie zwiększają swobodę ruchów. Wysoko umieszczone kieszenie nie kolidują z pasem biodrowym plecaka ani z uprzężą wspinaczkową.

Cena: ok. 700 zł
sklep.portalgorski.pl

TRZY W JEDNYM REGATTA NORTHTON 3 IN 1

Ta kurtka łączy wszystko, co najlepsze w turystyce, z miejskim designem. Dzięki możliwości wypinania ciepłego i miękkiego polaru świetnie sprawdzi się w warunkach miejskich i podczas górskich eskapad. Zewnętrzny, w pełni rozciągliwy materiał stretchowy zapewni swobodę ruchów. Dzięki wodoodpornej i oddychającej membranie ISOTEX 10.000 nie trzeba się martwić ulewnymi deszczami ani zimnym wiatrem.

Możliwość noszenia każdej części kurtki osobno lub w komplecie pozwala na dopasowanie się do każdej pogody, bez względu na sezon.



Cena: ok. 350-700 zł
www.regatta.com

WIELOZADANIOWA ENDURA MT500 II PULLOVER

Wielozadaniowa kurtka wodoodporna Endury w wersji pullover. Materiał ExoShell60 z transpiracją na poziomie 64 000 g/24 h oraz wodoodpornością 18 000 mm zapewnia ochronę i komfort w każdych warunkach. Zaprojektowana zarówno do jazdy na rowerze, jak i używania podczas chodzenia po górach czy jazdy na nartach.



Cena: ok. 930 zł
www.endurasport.com

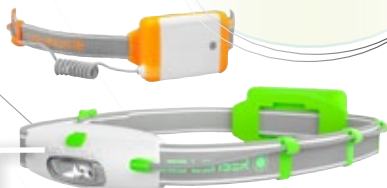
SPORTOWA ELEGANCJA ALPINESTARS



Męski zegarek analogowy zaprojektowany w sportowej stylistyce. Alpinestars jest znaną marką, która słynie z wysokiej klasy odzieży ochronnej dla motocyklistów i rowerzystów. Masywną kopertę o średnicy 45 mm wykonano ze stali szlachetnej. Zegarek zawieszono na ładnym i przyjemnym w dotyku silikonowym pasku w kolorze czarnym. Wodoszczelność zegarka to 100 m, a gwarancja wynosi 3 lata.

Cena: ok. 110 zł
www.ledlenser.com/pl

Cena: ok. 550 zł
[intermotors.pl](http://www.intermotors.pl)



NOWOŚĆ W POLSCE LEDLENSER NEO

To latarka czołowa idealnie sprawdzająca się podczas biegania. Lekka konstrukcja, dioda o mocy 90 lumenów i kącie padania światła 150 stopni (świetna widoczność każdej przeszkody) oraz czerwona migająca lampka z tyłu zapewniająca widoczność – to cechy wyróżniające ten produkt. Do tego 7 lat gwarancji niemieckiego producenta i bogata kolorystyka.

Cena: ok. 850 zł
www.thenorthface.pl



KOMFORT CIEPLNY THE NORTH FACE 1992 NUPTSE

To jeden z najbardziej znanych modeli w kolekcji The North Face®. Kurtka 1992 Nuptse łączy wyjątkowy górski styl z doskonałymi właściwościami chroniącymi przed zimowym chłodem. Klasyczna konstrukcja z przeszzytymi przegródami wypełnionych przytulnym puchem gęsim gwarantuje ochronę przed zimową pogodą. Trwałe wykończenie hydrofobowe chroni przed deszczem, a liczne kieszenie z suwakami bezpiecznie pomieszczą telefon, klucze oraz inne cenne drobiazgi podczas wypadów na miasto. Materiał pochodzi z recyklingu (poliester 73 g/m²).

DLA MALUCHA HUGGER, TOTTY TRIPPER

Wysokiej jakości plecak brytyjskiej marki Hugger jest bardzo lekki, pojemny, wytrzymały, kolorowy i oryginalny. Ma dużą główną komorę z wewnętrzną elastyczną kieszenią. Z przodu znajduje się mniejsza podręczna kieszeń zapinana na zamek oraz elastyczne boczne kieszenie siatkowe. Regulowane szelki mają wzmocnione szwy. Plecak ma też górny uchwyt. Jest idealny na wycieczki, spacer, wakacje, do przedszkola. Nie zawiera toksyn, jest przyjazny dziecku i środowisku, spełnia europejskie standardy bezpieczeństwa. Rozmiar zewnętrzny: 22 x 13 x 30 cm, waga: 0,3 kg. Dla dzieci w wieku 4-7 lat.



Cena: ok. 130 zł
matiamdmax.pl

Cena: ok. 320 zł
www.mactronic.pl

NIEZAWODNA MACTRONIC SNIPER 3.3



Najmocniejsza latarka z nowej serii ma moc 1000 lumenów oraz zasięg 205 m. Jest wodoszczelna i wstrząsoodporna, dzięki czemu idealnie nadaje się do zastosowań przemysłowych i taktycznych.

Niezwykle wydajny, wymienny akumulator umożliwia działanie do ponad 50 h. Może służyć jako powerbank pozwalający naładować telefon. Latarka jest wyposażona w ukryty tryb Strobe. Ma regulowaną wiązkę światła i możliwość obsługi wszystkich funkcji jedną ręką.



Cena: ok. 1200 zł
www.konsbud-hifi.pl

NA KAŻDE WARUNKI DREAM WAVE TREMOR

Tremor to niezwykle wytrzymały głośnik Bluetooth klasy premium. Konstrukcja jest odporna na wodę, kurz, piasek, czy nawet śnieg (standard IPX5). Do tego solidny pasek na ramię i pojemny akumulator litowo-polimerowy (20800 mAh). To sprawia, że Tremor jest jedynym zewnętrznym systemem głośnikowym, który można zabrać ze sobą praktycznie wszędzie.

DLA NAJMŁODSZYCH ORION FLASH

To nowsza wersja jeździko-rowerka Orion, który dodatkowo wyposażono w świecące koła. Amortyzacja powoduje, że dziecko, balansując ciałem, uczy się sprawności psychoruchowej. Kolejną unikatową cechą są łożyskowane kauczukowe kółka, które zapewniają dobre toczenie oraz to, że można nim jeździć zarówno w domu, jak i na dworze. Waga: 2,6 kg, maksymalne obciążenie do 20 kg.



Cena: ok. 150 zł
www.millymally.pl

WSZECHSTRONNA CZOŁÓWKĄ ACTIK PETZL

Wielowiązkowa i wszechstronna latarka czołowa. Aż 300 lumenów. Idealna do aktywności w plenerze, jak alpinizm, bieganie, trekking, biwak. Dostarczona z 3 bateriami AAA, ale też kompatybilna z akumulatorem CORE, ładowanym przez USB. Dwie wiązki: szeroka lub mieszana, kilka trybów oświetlenia (białe i czerwone). Opaska z odbłaskowymi elementami i gwizdek przydatny w razie sytuacji ratunkowej. Ciężar: 90 g. Wodoodporność: IP X4. Gwarancja: 5 lat



Hybrid
CONCEPT

Cena: ok. 480 zł
www.amc.com.pl

NA ROWER I TREKKING MIO: CYCLO 405 I 605

Marka Mio przedstawia kolejne modele komputerów rowerowych GPS – Cyclo 405 i 605. Nawigacje zostały wyposażone w czytelny, 4-calowy dotykowy ekran z powłoką antyodblaskową, który zapewni doskonałą czytelność map i danych, nawet w pełnym słońcu. Mają również wytrzymałą baterię, funkcje Bluetooth i ANT. Nowe nawigacje przypadną do gustu miłośnikom turystyki rowerowej oraz wyczynowcom, którzy lubią monitorować dane dotyczące wydajności i zdrowia.



Cena:
Cyclo 405 – ok. 1300 zł
Cyclo 605 – ok. 1600 zł
www.mio.com.pl



Z FUNKCJĄ QuikSTORIES

DZIEL SIĘ FILMAMI Z INNYMI GOPRO HERO6 BLACK

Najnowsza kamera GoPro zamienia przygody w niesamowite historie QuikStories na telefonie. Najnowszy procesor obrazu GP1, doskonały system stabilizacji obrazu i dwukrotnie większa wydajność sprawiają, że tworzenie doskonałych filmów jeszcze nigdy nie było tak proste. Dzięki sterowaniu głosowemu i wytrzymałej, wodoszczelnej konstrukcji kamera HERO6 Black, jak żadna inna, pozwoli dzielić się swoimi przeżyciami.

Cena: ok. 2400 zł
www.omtgroup.pl

DLA ŚWIETNYCH UJEĆ FEIYUTECH GIMBAL A1000 KIT

To zestaw zawierający profesjonalny trzyosiowy gimbal z dwoma uchwytami. Został zaprojektowany do współpracy z aparatami bezlusterkowymi. Stabilizator umożliwia nadanie kinowego wyglądu filmom poprzez uzyskanie płynnych i pozbawionych drgań ujęć. Został wyposażony w zaawansowane, bezszczotkowe silniczki o dużym momencie obrotowym.

Podzespoły najnowszej generacji w połączeniu z ulepszonym algorytmem sterującym umożliwiającą pracę z urządzeniami o masie do 1000 g. Pozwala to na wykorzystanie większości profesjonalnych bezlusterkowiec oraz innych aparatów i kamer spełniających warunki gabarytowe. Wbudowany w urządzenie moduł Bluetooth umożliwia zdalną kontrolę także za pośrednictwem aplikacji mobilnej Feiyu ON.



Cena: ok. 2300 zł
foxfoto.pl

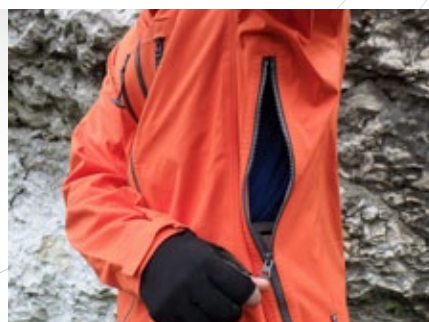
FJÄLLRÄVEN BERGTAGEN ECO-SHELL

Test jednego z czołowych modeli szwedzkiej marki outdoorowej Fjällräven, czyli Bergtagen Eco-Shell, przeprowadziłem podczas wyjazdu wspinaczkowego na Jurę przy dość dobrej pogodzie (ok. 14°C i pochmurnie). Potem był wypad w Beskid Śląski i pierwszy atak zimy. W obu tych sytuacjach kurtka poradziła sobie wyśmienicie.

Marka Fjällräven od początku istnienia stawia na naturalne materiały i procesy produkcyjne, w których dba się o ochronę środowiska. Wierzchnia warstwa testowanej kurtki, czyli tkanina Eco-Shell, jest wykonana z poliestru z recyklingu. Materiał został zaimpregnowany preparatem bez fluorowęglowodorów (substancji stanowiących zagrożenie dla środowiska, które rozprzestrzeniają się podczas prania ubrań i noszenia ich na świeżym powietrzu). Membrana i tkanina wewnętrzna są wykonane z poliestru, co sprawia, że łatwiej poddać je recyklingowi. Eco-Shell to 2,5-warstwowa tkanina funkcjonalna typu shell zapew-

niająca komfort w wilgotnych i wietrznych warunkach. Hydrofilowa membrana umieszczona pośrodku zapobiega przedostawaniu się wody z zewnątrz, pozwalając jednocześnie na odprowadzanie wilgoci z wnętrza na powierzchnię kurtki, gdzie może ona odparować. Cienka warstwa poliestrowa chroni wewnątrz membrany i sprawia, że odzież jest miękka i miła w dotyku. Wewnętrzny splot pomaga również w odprowadzaniu wody. Ponadto membrana w połączeniu z wiatroodpornym materiałem zewnętrznym zapobiega przenikaniu wiatru i wyiębieniom.

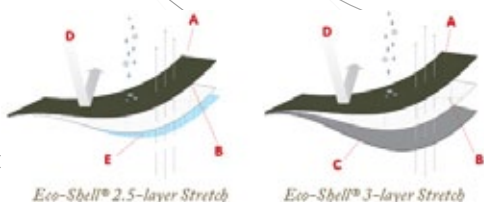
Kurtka jest bardzo dobrze skrojona. Projektanci i testerzy (m.in. światowej klasy ekspert od aktywności w terenie i survivalu Johan Skullman) bardzo dobrze się spisali. Kurtka ma wyprofilowane rękawy, które nie ograniczają ruchów nawet podczas wspinaczki. Pod duży regulowany kaptur bez problemu mieści się kask. Mankiety rękawów mają regulację na rzep, co również pozytywnie wpływa na ułożenie na rękach. Na łokciach oraz na końcu pleców są wzmocnienia z Corylonu – materiału opartego na włóknach aramidowych. Nawet po kilku podparciach się na łokciu czy zahaczeniu o skały nie było śladów zadrapania ani naderwania materiału. Bardzo przydatny przy wspinaczce jest również dwustronny zamek błyskawiczny z wewnętrzną listwą ochronną. Dzięki temu



jest dostęp do łącznika czy szpejarek. Kurtka jest wyposażona także w dwie kieszenie na piersi zapinane na zamek. Bergtagen Eco-Shell bardzo dobrze oddycha (MP: 26 000 g/m²/24 h). Sprawdziłem to, podchodząc pod skały z całym ekwipunkiem na plecach i podczas wycieczki w Beskidach, gdy towarzyszył nam deszcz. Kurtka nie tylko dobrze odprowadzała wilgoć, ale też nie przemokła, a zewnętrzna warstwa nie miała oznak nasiąknięcia wodą. Odpowiednią cyrkulację powietrza wspiera także system wentylacji w postaci zapinanych na zamek bocznych paneli wentylacyjnych. Uchwyty zamków mają długie końcówki, które można obsługiwać w rękawiczkach. Dolny



Cena: ok. 2600 zł
www.fjallraven.pl



Eco-Shell® 2.5-layer Stretch

Eco-Shell® 3-layer Stretch

obwód można regulować za pomocą ściągacza ze sznureczkiem. Jest dość lekka (550 g rozmiar M), choć w tej cenie można dostać kurtki lżejsze nawet o 20 proc.

To dobre rozwiązanie dla tych, którzy szukają technicznej kurtki membranowej z ekologicznych materiałów, dopracowanej w najmniejszych szczegółach, przeznaczonej do wspinaczki górskiej i skitouringu. Profilowany krój i elastyczny materiał zapewniają komfort i maksymalną swobodę ruchów, a użyte technologie i materiały niezawodnie chronią przed czynnikami atmosferycznymi.

Test: Grzegorz Miedziński



ZESTAW GSI OUTDOOR GLACIER STAINLESS

Podczas kilkudniowych trekkingów i biwaków liczą się tylko najważniejsze potrzeby: odpoczynek, sen i uzupełnienie energii. Dobrze wtedy mieć niezawodny sprzęt, który może zapewnić trochę „luksusu”. Tym razem chodzi o luksus dla podniebienia. Dobra kawa pita w górach przy wschodzącym słońcu to wielka przyjemność. Przez wiele lat stosowano kawiarki skręcane, składające się z kilku elementów, które trzeba było połączyć. Te łączenia z biegiem czasu zaczynały przeciekać. Trudniej też było je utrzymać w czystości. Zdecydowanie łatwiej i wygodniej używać kawiarek, których zewnętrzna pokrywa stanowi jednolitą ca-

łość. Tak jest z Glacier Stainless marki GSI Outdoor. To wytrzymały zaparzac do kawy wykonany z wysokiej jakości stali nierdzewnej w technologii Glacier Stainless 18/8. Do środka wkładamy elementy do zaparzenia kawy. Są idealnie spasowane i nie wymagają żadnego skręcania – 3 części wchodzi jedna w drugą. Taka budowa gwarantuje sprawne działanie w każdych warunkach. Ucho kawiarki jest pokryte silikonem, dzięki czemu nie nagrzewa się podczas przygotowywania napoju. Całość prezentuje się bardzo elegancko, a zarazem prosto. Kawiarkę łatwo i szybko się myje, nawet w biwakowych warunkach, a cały zestaw waży 570 g (pojemność na 6 filiżanek). Gdy pierwszy raz użyłem jej w skałach na Jurze, jej wygląd i unoszący się zapach parzonej kawy przyciągnął wielu zainteresowanych.

Obowiazkowym dodatkiem są małe kubeczki lub raczej filiżanki Espresso Cup, również marki GSI Outdoor. Także zostały wykonane z wysokiej jakości stali nierdzewnej. To produkt niezwykle solidny, który na pewno nie zawiedzie przez lata. Ich niewielkie wymiary (7,1 × 5,7 × 4,3 cm) oraz niska waga (34 g) docenimy podczas dłuższych wędrówek.

Testowany zestaw uzupełnił kubek GSI Outdoor Stainless Bottle o pojemności 0,7 l. Można go używać do zagotowania wody, przyrządzenia niewielkiej potrawy (błyskawiczna kaszka czy budyni). Można w nim również podgrzewać posiłki na kuchence i na ognisku. Mnie służy do podgrzewania obiadków córce Zosi, która często z nami podróżuje. Po jego umyciu często się nim bawi, sprawdzając jego wytrzymałość w piasku czy na kamieniach. Te crash testy kubek przechodzi dobrze. Jest wykonany z wysokiej klasy stali nierdzewnej w technologii Glacier Stainless 18/8 i bardzo lekki (177 g).

Ma praktyczny sposób składania uchwytu, dzięki czemu zajmuje niewiele miejsca w plecaku (wymiar: 10,4 × 10,4 × 11,7 cm). Kubek doskonale sprawdzi się w podręcznym ekwipunku każdego turysty. Jego uniwersalny charakter oraz wysoka

jakość pozwalają na używanie go praktycznie w każdych warunkach.

GSI Outdoor to mała amerykańska rodzinna firma, która istnieje na ryn-



Cena: od ok. 80 zł
www.gsioutdoors.com

ku od 1985 r., ale jej początki sięgają wcześniejszych lat. Marka korzysta z ogromnej wiedzy kanadyjskich i francuskich traperów przemierzających Kolumbię Brytyjską. W oparciu o ich doświadczenie, wymagania sprzętowe i uwagi GSI stworzył kolekcję naczyń i akcesoriów. Firma cieszy się ogromnym powodzeniem i zaufaniem nie tylko na rynku amerykańskim.

Przy okazji testowania używałem palnika Optimus Vega wraz z osłonką i gazem Optimus. To z kolei znana szwedzka firma, która zajmuje się produkcją kuchenek i akcesoriów turystycznych już od ponad 100 lat. W ofercie Optimusa znajdziecie kuchenki turystyczne i palniki wielopaliwowe, naczynia biwakowe, akcesoria kuchenne itp.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: od ok. 30 zł
www.gsioutdoors.com



Cena: od ok. 140 zł
www.gsioutdoors.com

Lód dla ludzi

7 grudnia 1930 r. w Katowicach uruchomiono pierwsze w Polsce sztuczne lodowisko – Torkat. Początkowo miało służyć jako zabezpieczenie na wypadek złych warunków pogodowych podczas rozgrywających się w Krynicy mistrzostw świata w hokeju. Finalnie na tafli ciągle coś się działo, a obiekt mieścił nawet kilka tysięcy widzów. Mecze hokejowe, zawody w łyżwiarstwie figurowym... Lodowisko w latach świetności gościło najlepszych sportowców z całego świata, a bilety rozchodziły się jeszcze w przedsprzedaży. Latem tafle lodu zamieniano na płytki basen, boisko oraz salę koncertową lub kino letnie.

Po wojnie, 18 grudnia 1949 r., miało miejsce ponowne, uroczyste otwarcie Torkatu. Inż. Kolda – główny projektant – miał wówczas powiedzieć, że „lodowisko to można zaliczyć do rzędu najlepszych w Europie”. Niestety, obiekt dwa razy był niszczone przez pożar. Ubezpieczenie pokryłoby szkody, jednak w 1973 r. zdecydowano, że pieniądze zasilą katowicki klub piłki nożnej. Torkatu już nigdy nie odbudowano. W późniejszych latach służył jako parking, lecz ostatecznie to historyczne miejsce zburzono. Obecnie stoi tu biblioteka uniwersytecka, a Torkat upamiętnia odsłonięta w 2012 r. tablica.

TEKST: ALEKSANDRA CWIĘK





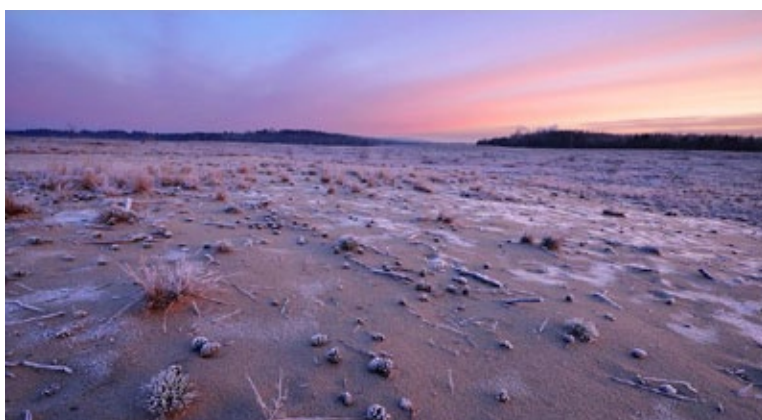
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



INDONEZJA – WYSPA PEŁNA DUCHÓW



WŚRÓD LODÓW GRENLANDII



POLSKA – NAJWIĘKSZA PUSTYNY EUROPY

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Julia Michalczywska
julia.michalczywska@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krysztofiak-Gawryjolek
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Tomasz Owsiany, Anna Szczesna, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

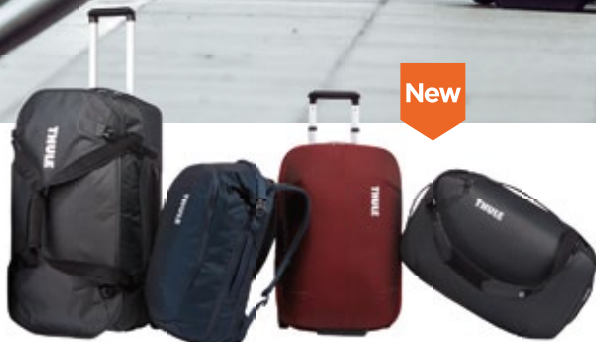
Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

THULE
SWEDEN

➤ Travel in style



Kolekcja Thule Subterra

Kompletna linia wysokiej jakości, eleganckich i nowoczesnych toreb podróżnych i bagażu dla nowoczesnych podróżników.

Bring your life
thule.com

JARMARK BOŻONARODZENIOWY NA MARKTPLATZ
WWW.INNSBRUCK.INFO
#MYINNSBRUCK

**INNS'
BRUCK**

unlimited

BOŻE NARODZENIE W GÓRACH



Foto: innsbruck tourism / jovanovic

Adwent i Boże Narodzenie

Ten najpiękniejszy okres w roku jest w Innsbrucku zapewne piękniejszy niż gdzie indziej.

Informacja: www.innsbruck.info, Telefon +43 512 / 53 56, info@innsbruck.info